Artykuły i korespondencje, przeznaczone dla «Kraju», powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografje mozna przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rach. honorarjów regulowane są kwartalnie.

№. 8

KRAJ

BIURO Redakcji i Administracji: Petersburg, kanał Jekateryński Nr. 82, otwarte jest codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od g. 11 r. do 5 pop. ADRES dla telegramów: «Petersbg.—Kraj». Kantor WARSZAWSKI (Marszałkowska 141) przyjmuje prenumeratę miejską z Warszawy, oraz ogłoszenia z Warszawy i z Królestwa.

ROK XVIII

Od Administracji.

Nowoprzybyłym prenumeratorom «Kraju» rozesłaliśmy przy N-rze 6 odbitkę początku powieści M. Gawalewicza pod tytułem: «Znak zapytania».

KREDYT DLA WŁOŚCIAN.

Wd. 8 (20) b. m. zebrał się we Lwowie sejm galicyjski na dłuższą sesję. Oddawna skarżyła się Galicja, że jej prowincjonalne ciało prawodawcze nie rozwija należytej działalności, gdyż korzysta jedynie z przerw w obradach rady państwa. Obecnie, gdy parlament wiedeński sam się skazał na długą bezczynność, sejm znajduje możność dokonania niejednego, co zaniedbano w latach poprzednich.

Między projektami wydziału krajowego, wniesionemi do Izby, znajduje się jeden, na który przedewszystkiem chcemy zwrócić uwagę, nietylko dlatego, iż uchwalenie go przez sejm wpłynąć może znacznie na warunki bytu ludności wiejskiej, ale i dlatego, iż łączy się on ściśle z szeregiem kwestyj, zajmujących dziś całą Europę.

Idzie tu o zorganizowanie taniego kredytu i przystosowanie go do potrzeb włościanina.

Galicja posiada już ogromną sieć towarzystw zaliczkowych, według systemu Schultzego z Delitsch; wydział krajowy chce teraz zorganizować drugą taką sieć instytucyj kredytowych według systemu Raiffeisena.

Czemże się różnią oba te systemy, które niegdyś toczyły w Niemczech walkę nieprzejednaną, a dziś rozwijają się spokojnie, nie szkodząc sobie wzajemnie?

Schultze, którego idee miały ćwierć wieku temu przewagę stanowczą, oparł swe towarzystwa zaliczkowe na zasadach, przyjętych w świecie bankowym.

Towarzystwa jego są towarzystwami «udziałowemi». Każdy ich członek posiada dowolną ilość udziałów, zapewniających mu prawo korzystania z zysków. Ta nadzieja dywidendy jest właśnie przynętą, przysparzającą towarzystwu coraz nowych członków.

Towarzystwa zaliczkowe, zasilane kredytem przez większe instytucje, przyjęły za zasadę, iż udzielają kredytu swym członkom pod temi warunkami, pod jakiemi same z niego korzystają. Otrzymując pieniądze w bankach na termin trzymiesięczny, udzielają członkom pożyczek trzymiesięcznych; biorąc pieniądze na weksle, pożyczają je na weksle swym członkom.

By wreszcie nie utrudniać powstawania nowych towarzystw, pozostawiał Schultze każdemu towarzystwu zupełną swobodę zorganizowania się na zasadach bądź ograniczonej, bądź nieograniczonej poręki.

Raiffeisen, stwarzając nowy typ stowarzyszenia, musiał oczywiście zachować wiele rysów, któreśmy już widzieli powyżej. Stowarzyszenia te, podobnie jak stowarzyszenia Schultzego, rządzą się autonomicznie; podobnie jak tamte, przyjmują one wkładki na procent i szerzą przez to cnotę oszczędności. Są atoli między niemi różnice istotne i rażące.

Raiffeisen poprzewracał do góry nogami tradycje bankowości.

Przedewszystkiem, dla zabicia w swych spółkach ducha spekulacji, znosi on «udziały» członków i pozbawia ich prawa do dywidendy. Tam, gdzie ustawy państwa wymagają organizacji, opartej na udziałach, ogranicza on je umyślnie, sprowadzając je do wysokości minimalnej. Dywidenda traci przez to faktycznie wszelkie znaczenie, a cały lub prawie cały zysk idzie na fundusz rezerwowy. Pozbawiając w ten sposób członków wszelkich zysków po za procentami od wkładek, narzuca im Raiffeisen natomiast ciężki obowiązek poręki nieograniczonej.

Raiffeisen zasila się, jak Schultze, kredytem krótkoterminowym w większych bankach. Chcąc atoli nieść pomoc biednej ludności rolniczej, dla której termin trzymiesięczny jest niedogodny, udziela on w zasadzie pożyczek rocznych, płatnych «po żniwach», w razie potrzeby daje pieniądze na cztery lata, a w razach wyjątkowych na lat dziesięć. Biorąc zatem pieniądze od swych wierzycieli na termin krótki, daje je Raiffeisen swoim dłużnikom na termin dłuższy.

Udzielając kredytu w różnej formie, nie udziela Raiffeisen bezwarunkowo pożyczek na weksle.

Zarząd takiej spółki raiffeisenowskiej pełni czynności bezpłatnie. Jedynym płatnym jej funkcjonarjuszem jest kasjer.

By zdać sobie sprawę z idei, które doprowadziły Raiffeisena do takich wyników, należy pamiętać, że cała jego działalność była jednym z objawów powszechnej reakcji przeciw uświęconym zasadom klasycznej ekonomji społecznej. Raiffeisen mógł zbudować spółkę na zasadach, które dawnym ekonomistom wydawały się dziwacznemi, bo brał w rachubę czynniki, lekceważone przez nich. Spółka jego jest tylko w połowie przedsiębiorstwem, w połowie zaś bractwem ludzi uczciwych, przejętych duchem obywatelskim, znających się nawzajem wybornie i zarządzających wspólnem mieniem dla dobra powszechnego. Raiffeisen wierzył, że ludzie, którzy jedną zamieszkują wioskę, którzy całym majątkiem wzajemnie za siebie ręczą, którzy znają na wylot swe wady i zalety, będą sobie nawzajem przyznawali kredyt po bardzo ścisłej rozwadze i spółki nie narażą na straty.

Galicyjski Wydział krajowy, chcąc obdarzyć swą prowincję takiemi spółkami, wysłał członka swego, pana Sawczaka, do Niemiec, a następnie do zachodnich prowincyj Austrji dla zbadania rezultatów, jakie idea Raiffeisena tam wydała. Ze sprawozdania, które p. Sawczak Wydziałowi złożył, wyjmujemy kilka danych.

Pomysły Raiffeisena nie podobały się przez czas długi ekonomistom niemieckim. Gdy już spółki rozpowszechniły się nad Renem, gdy już istniały trzy małe banki spółkowe i jeden bank centralny, zasilający całą tę organizację kredytem, rząd pruski, działając pod wrażeniem interpelacji, wniesionej przez Schultzego w parlamencie, zaczął utrudniać tym bankom działalność i zmusił je do zawieszenia czynności. Idea żywotna i płodna nie da się jednak pogrzebać. Raiffeisen łączy pojedyńcze spółki w nową całość, zakłada w Neuwied (w rejencji koblenckiej) «Centralną rolniczą kasę pożyczkową», zakłada tamże w roku 1877 «Związek opiekuńczy», i oto po latach dwudziestu, w r. 1896 mamy w Niemczech cztery potężne związki, liczące razem 6 tysięcy spółek, 350 tys. członków, oraz wykazujące w tych spółkach 500 miljonów marek obrotu rocznego.

Za Niemcami poszła Austrja. Na pierwszym wiecu spółek Raiffeisenowskich, który odbył się w Wiedniu dwa lata temu, było reprezentowanych 1,414 spółek i 127 tysięcy członków. Bardzo ciekawie przedstawia się rozwój tych spółek w Czechach i na Morawach. Czesi patrzyli zrazu niechętnie na te instytucje, jako na forpoczty niemczyzny. Natomiast niemcy pozawiązywali w obu tych prowincjach związki centralne i zajęli się gorliwie krzewieniem idei Raiffeisena. Widząc, jak silnie ta myśl kiełkuje, poszli czesi, acz niechętnie, za przykładem niemców. Obok związków niemieckich powstały związki czeskie, a liczba spółek wzrasta nieustannie w obu obozach.

W Galicji istniało w roku zeszłym spółek 15. Noszą one tam nazwę «Kas oszczędności i pożyczek», liczą ogółem do czterech tysięcy członków, suma wkładek wynosi w nich 233 tys. reńskich i takaż jest wysokość udzielonych pożyczek.

Wydział krajowy chce objąć patronat nad wszystkiemi takiemi kasami w kraju, na co żąda od sejmu upoważnienia; nadto zaś żąda 10 tys. reńskich na urządzenie biura centralnego, 10 tys. na organizowanie kas nowych i miljona reńskich, spłacanego przez sejm w 50 ratach, na pożyczki dla kas będących w ruchu.

Dyskusja nad wnioskami Wydziału dotknie niewątpliwie wszystkich stron życia wiejskiego i będzie niezmiernie zajmująca. Pojedyńcze «Kasy oszczędności i pożyczek» mają mieć wszystkie charakterystyczne cechy spółek Raiffeisena. Jako takie cechy Wydział krajowy wylicza: zasadę nieograniczonej poręki, bezpłatność zarządu, dokładne badanie stanu majątkowego i zdolności gospodarskich dłużnika, nieudzielanie pożyczek na weksle, udzielanie kredytu kilkoletniego (do lat 4), a wreszcie oznaczenie jak najmniejszych udziałów, tak, iż faktycznie cała przewyżka pójdzie na fundusz rezerwowy, do którego członkowie nie będą mieli prawa. Referat Wydziału krajowego dowodzi, że w Galicji zrozumiano, jak ważne są owe czynniki moralne, na które sam Raiffeisen tak wielki kładzie nacisk. Według słów jego, rękojmie materjalne nie są dostateczne, gdy idzie o przyznawanie członkom kredytu. Nawet gdy ta rękojmia daje zarządowi wszelkie bezpieczeństwo, powinien tenże pożyczki odmówić, skoro nie ma pewności moralnej, iż pożyczka użytą będzie na cel dobry i rozumny. Przeciwnie zaś może otrzymać pożyczkę nawet członek ubogi, gdy dał dowody pracowitości, trzeźwości, zapobiegliwości w gospodarstwie; przedewszystkiem zaś pytać trzeba, na co pożyczka będzie użytą.

Poznaliśmy tedy zasady kas pożyczkowych, które otrzymać ma Galicja. Wartoby je porównać z ustawą towarzystw zaliczkowo-wkładkowych, które powstawać obecnie zaczynają w Cesarstwie i Królestwie polskiem. Normalna ustawa tych towarzystw jest niewątpliwie kombinacją systemu Schultzego z systemem Raiffeisena.

Towarzystwa zaliczkowo-wkładkowe są instytucjami «udziałowemi». Udziały, których wysokość w każdem towarzystwie może być inna, dają członkom prawo do dywidendy; zasada ta, odźwierciedlająca poglądy Schultzego, zmodyfikowana jest postanowieniem, iż każdy członek może być właścicielem jednego tylko udziału, którego mu ani sprzedać, ani odstępować nie wolno.

Do towarzystw Schultzego zbliża je wolność organizowania się na podstawie poręki bądź ograniczonej, bądź nieograniczonej; zbliża je też do nich płatność zarządu. Natomiast wspólne ze spółkami Raiffeisena mają dłuższe terminy pożyczek. Wielką, największą może zasługą Raiffeisena było to, iż zrozumiał, że dla rolnika, który raz na rok sprzedaje zboże, kredyt trzymiesięczny nie jest żadnem dobrodziejstwem. Zapatrywanie to podziela prawodawca rosyjski. Towarzystwa zaliczkowo - wkładkowe udzielają pożyczek dwojakich: krótkoterminowych, rocznych, i długoterminowych, płatnych w terminie nie dłuższym nad lat pięć. Pod tym więc względem odrębne warunki rolnictwa uwzględniono w bardzo znacznym stopniu.

Tani kredyt dla drobnych rolników zajmuje dziś, jak widzimy, ekonomistów i prawodawców na ogromnym obszarze Europy. Kwestja ta łączy się z jednej strony z kwestją przesilenia rolniczego i obdłużenia ziemi, z drugiej—z kwestją chleba dla rodzin osiadłych, które w braku taniego kredytu, dostawszy się w ręce lichwiarzy, głodem trapione, ruszają w świat i pomnażają armję rozżalonego, zawistnego i groźnego proletarjatu.

Vigilax.

MYŚLI POLITYCZNE.

Pierwszym artykułem wiary naszej jest: bezwarunkowe powołanie wszystkich do pracy narodowo-obywatelskiej, bezwzględna kompetentność każdego stanu, stronnictwa, wyznania. Siła narodu albowiem polega na przyjmowaniu i asymilowaniu—a nie na wyłączaniu i odrzucaniu. Chlubą narodu jest pozyskiwanie nowych obywateli.

Józef Szujski.

SEJM GALICYJSKI.

I.

Lwów, 24 lutego.

Dzięki zagwożdżeniu Rady państwa, sejmy krajowe, półtora tuzina blizko sejmów krajowych, zbierają się na dłuższe sesje, by radzić nad troskami austrjackich ludów. Sejmy krajowe tak niesfornemi nie są, jak centralna reprezentacja ludów; za wzór zgody bratniej i wzajemnej wyrozumiałości stawiane jednak również być nie mogą. Hr. Thun monoklem swoim bacznie wodzić musi od Pragi po Czerniowce i z północy aż po Dalmację, by zdawać sobie ciągle sprawę, którego sejmu jeszcze otworzyć nie można, a który już śpiesznie zamknąć wypada? Gdzie dopuścić nie można, by posłowie brali się za czuby, a gdzie przerwać im należy ulubioną tę igraszkę.

— Jeden w drugiego... *polnischer Landtag!* — zawołał raz podobno zniecierpliwiony austrjacki premjer.

Pardon! panie hrabio, nie wszystkie sejmy potępiać tak należy w czambuł; jest jeden, dla którego wyzwisko *polnischer Landtag* nie licuje: sejm Galicji i Lodomerji z W. Ks. krakowskiem, Oświęcimem i Zatorem!

Sejm galicyjski jest najspokojniejszem i najpoważniejszem ciałem prawodawczem, jakie kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło. Trzy dni temu wahałbym się był napisać powyższe zdanie. Skoro jednak sprawa galicyjskiej kasy oszczędności, która tyle wytworzyła żółci, tyle rozdrażniła nerwów i podjudziła niechęci, nie zdołała pp. posłów krwi zimnej pozbawić, nie zdołała w obrady wprowadzić nuty drażliwej i obradujących pobudzić do krzyków, oskarżeń i zgiełku, skoro ona nie zdołała zachmurzyć pogodnego oblicza naszego sejmu—wątpliwości już nie mam.

Sprawa bowiem kasy oszczędności przesiąknęła powietrze i cięży na wszystkich umysłach. Pominąwszy stronę jej finansową, która wobec wniosków objęcia przez kraj gwarancji na zobowiązania kasy, groźnie się nie przedstawia, sprawa ta silne wywołała rozdrażnienie i nadawała się, jak żadna inna, do burzliwej dyskusji. Każdy miał tu coś do powiedzenia: najpierw wielka rzesza tych, którym rzutkość p. Szczepanowskiego była solą w oku, a którzy obecnie, jako na czyn obywatelski na to powołać się mogą, że... nic nie robią, słowami: „A co? nie mówiłem?“ Powtóre, okoliczność, że katastrofa wydarzyła się w demokratycznym obozie, dawała jego przeciwnikom nader wygodny temat do dyskusji (skwapliwie wyzyskany przez dziennikarstwo). Wreszcie oliwy do ognia dolewały same względy czysto dziennikarskie, to, że p. Szczepanowski był założycielem rzutkiego „Słowa Polskiego“, zagrażającego pozbawieniem prenumeratorów wiele mniej sprężystych dzienników. Ileśmy atramentu zejsuli na zarzucanie redaktorom „Słowa“, że „pochłaniali miljony, składane przez biedaków w kasie oszczędności!“ W gruncie jest to nonsens i wszyscy wiemy, że pismo to nie „pochłonęło“ ani miljonów, ani miljona, ale czemu nie podstawić mu nogi?

Jeden z posłów, znany sarkastyczny „z cicha pęk“, dobrze mi to onegdaj określił. Mówiliśmy o tutejszej kasie dziennikarskiej.

— Jesteście doprawdy nienasyceni — odezwał się poseł—więc nie dość wam tych miljonów?

— To zjedli liberalni dziennikarze — odparłem, domyślając się, dokąd zmierza — i ostatecznie jakieś liche 7 milj. Ale my, reszta?

— Ależ ja nie o tem mówię. Ja mówię o miljonach Kirchmayera i setek rodzin, które zawierzyły mu fundusze, a któreście „pochłonęli“ wy konserwatywni dziennikarze!

— Ciszej! szanowny pośle, bo jak pan Romanowicz posłyszy...

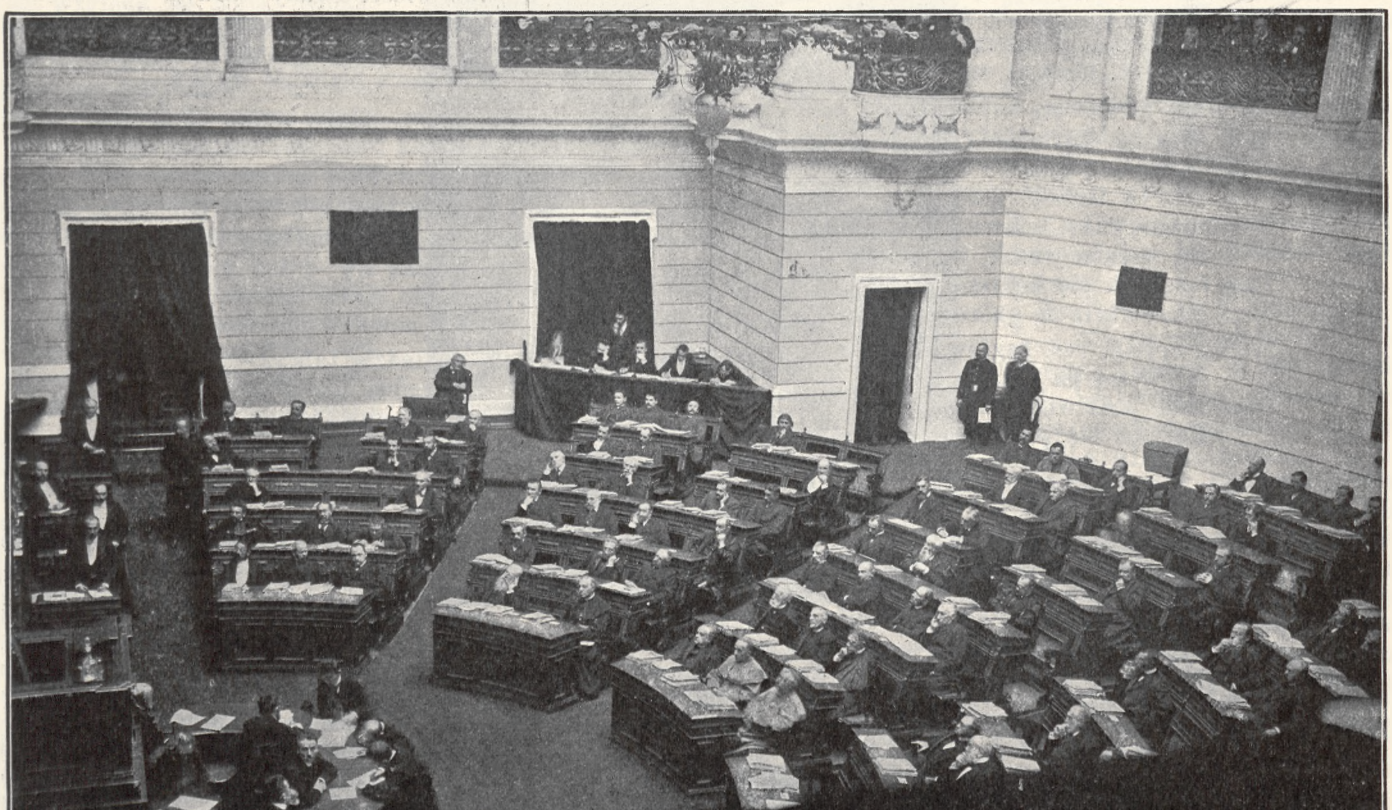
Nie potrzebuję dodawać, że „Czas“ nie pochłonął zupełnie miljonów Kirchmayera, za czasów głośnego jego ongi



Gmach sejmowy we Lwowie.

grupami żywo i zacięcie; na monumentalnych schodach, wiodących do sali, zostawili całą swoją krewkość i siedzą teraz w ławkach swych poważni i zadumani, choć do rzymskich senatorów nie podobni, a jednak równie głusi na nienawistne krzyki dziennikarskich.... barbarzyńców.

Łysina marszałka da się tylko porównać z łysiną brata jego Kazimierza, byłego prezesa gabinetu, siedzącego na prawicy sejmowej, a obydwie te łysiny podobne są, jak dwie krople, do historycznej łysiny ś. p. Władysława Badeniego, ojca dwóch tych dygnitarzy. Marszałek krajowy przewodniczy rozprawom gromko i sprężyście. Przyzwyczajony widocznie do krótkich, trzechdniowych sesyj, czasu nie traci ani chwili, wahania nie zna, regulaminowe węzły rozcina i śpieszy dalej. Przypomina tem Zyblikiewicza, choć nie ma jego szorstkiej krewkości. Zamaszysty szlachcic, hr. Badeni odbija tem więcej od młodego namiestnika, niewielkiego wzrostem, z twarzą łagodną i sympatyczną, uśmiechniętą tem przyjemniej, im stanowczej pan namiestnik uzna za stosowne postawić się sztorcem. Leon Piniński wrażliwy i żywy, tem



Wnętrze sali sejmowej. Fotografja z loży marszałka krajowego, wykonana dla «Kraju», a przedstawiająca centrum i lewicę, oraz krzesło marszałka i sekretarzów.

bankructwa. Ale gdyśmy wśród takiej rozmowy wynużyli się z ogrodu Jezuickiego i stanęli przed okazałą fasadą nowego gmachu sejmowego, pomyślałem w duchu: tak okazale, tak cicho i spokojnie wyglądasz mój biedny sejmie i ani się domyślasz, jaka za chwilę zahuczy w twym wnętrzu burza!

Jakież było moje zdumienie, gdym z galerji spoglądał na salę, wymieniając z kolegami uwagi swoje szeptem, ogarnięty spokojem, rozlanym w całej amfiteatralnej sali? Jeszcze u wejścia do gmachu sejmowego rozprawiali posłowie

Prawodawcze ciało galicyjskie tem różni się zasadniczo od innych ciał wszystkich, że dwa ma punkty ciężkości. Jednym jest Stanisław hr. Badeni, marszałek sejmu i kierownik wydziału krajowego, drugim—Leon hr. Piniński, c.-k. namiestnik. Pierwszy głową jest sejmu, drugi jego ramieniem, ramieniem nie zrosłem z sejmowem ciałem, ale wypożyczonem mu przez władze centralne i głowie posłusznem o tyle tylko, o ile się to onym podoba.

Głowa sejmu jest imponującą, rozumną i energiczną i — przysłowiowo łysą.

spokojniejszą i zimniejszą okrywa się powłoką, im bardziej jest podrażniony; stanowczy i uparty, tem grzeczniejszym staje się i uprzejmiejszym, im bezwzględniej przeprowadza swe plany. System wydaje się niezłym, skoro ciężkie przejścia: zamieszki zeszłoroczne i obecne przesilenie zwiększyły w kraju jego wziętość i powagę. Pogłoski o zamiarze powołania go na ministra sprawiedliwości zaniepokoiły w Galicji wszystkie obozy, pragnące widzieć go nadal u steru rządu.

Około dwóch tych środków ciężkości

Na Tryerze[1].

Hej! Na pokładzie tańczą tam!
Muzyka grzmi wesoło!
Z hufcem młodzieńców orszak dam
Piękne upletli koło.

Hej! na pokładzie tańczą tam,
Aż szruby masztów dźwięczą —
Wiąże się urok wiotkich dam
Z zręcznością w rytm młodzieńczą.

Na głowie wieńce z wonnych róż,
Tuniki złotem tkane,
Amfory w rękach — szydzi z burz
To koło rozigrane.

Na pokład nie patrz — siedzą tam
Przy wiosłach niewolnicy —
Na Heraklesa! Zdrowie dam!
We fletnie dąć, muzycy!

Tryera pędzi lotem mew
Po modrym wód obszarze —
Na Artemidę! Niech brzmi śpiew
I pocą się wioślarze!...

Hej, barbarzyńcy!... Patrz, jak trakt
Równą się bruzdą żłobi —
Kto nie porusza wiosłem w takt,
Dozorco! Grzbiet mu obij!

Formingi dźwięczą, kotły grzmią —
Wesołe instrumenty —
Tam cicho — wiosła równo rwą
I sieką srebrne męty...

Hej, barbarzyńcy!... Lecz patrz, wznieś
Ku żaglom wzrok, ku górze —
Tam człowiek się kołysze gdzieś
Na zwitym w gniazdo sznurze.

Wśród drabin, rei, żagłów, lin
Z piersią na wichry nagą,
Przedmiot podziwu, czasem drwin,
Kołysze się pod flagą.

My tańczym — jego orli wzrok
W dal wypatruje lądy;
Gdzie rafy grozi straszny smok,
Gdzie zgubne warczą prądy.

On jest oczyma nawy tej,
Jej czujną wiecznie wartą;
On patrzy w zmrok i w ciemne mgły
Zrenicą wciąż otwartą.

Pod gwiazdą flagi wisząc tam,
Na wichrów zdany wolę,
Jest pod tą gwiazdą jeden sam,
A my tańczymy w dole.

Nie dojdzie go gwar trąb i słów,
Ni cała tłumu wrzawa —
Wśród orlich się kołysze snów,
A pod nim płynie nawa.

Wtem wiatr się zrywa, pada grzmot,
Burza na okręt wali —
Z pokładu tanecznicy w lot
W kajutach poznikali.

I tylko wioseł rwany skrzyp
Wśród gromów słychać trzasku,
I z morskich, druzgotanych szyb
Wylata blask po blasku.

Jak ljanów sploty zrywa słoń,
Burza rwie lin wiązanie —
Wylata człowiek — spada w toń,
W przepastne wód otchłanie.

To on!... Wiatr milknie, burza wnet
Ucisza się — już wiosła
Rytmicznie sieką fali grzbiet,
By nawa w dal się niosła...

I na pokładzie tańczą już —
Pogodna tak głębina —
A tam. na gniazdo, na łup burz
Nowy się majtek wspina.

Kaz. Tetmajer.

[1]) Z IV serji. Tryera—trójwiosłowy okręt grecki.

grupuje się wachlarz sejmowy, mający, jak każdy szanujący się parlament, swe centrum, prawicę i lewicę. Centrum błyszczy w pierwszej zaraz ławie fjoletami biskupów trzech obrządków, których ośmiu ma złączone ze swą godnością prawo zasiadania w sejmie. Na prawicy siedzą z kraju najbardziej rogate „stańczyki"; są między nimi tacy nawet, co przystawiliby sobie chętnie luźne krzesła, by siedzieć jeszcze bardziej na prawo, jeszcze chętniej obcięli całą lewą stronę Izby, bez względu na pozbawienie sejmu wszelkiej symetrji. Z tej strony Izby, przez ławy podolskie aż po centrum ciągnie się świetne pasmo „ekscelencyj", których liczba wzrosła w ostatnich czasach do 23; 23 tajnych radców na 116 posłów!



Główne schody gmachu sejmowego we Lwowie.

Ozdoby tej całkowicie pozbawiona jest sejmowa lewica, zajęta przez liberałów, demokratów, ludowców, rusinów i posłów włościańskich. Ma natomiast inną ozdobę: sukmany. Jest ich niewiele, bo posłowie włościańscy lubią przebierać się za „panów", sprawiając sobie nietylko czarne surduty, ale i takie same binokle, jak Dunajewski. Wierni swemu tradycyjnemu strojowi pozostali posłowie: Wójcik i rusin Winniczuk.

Na sumę mniej jest sukman, niż... tajnych radców. A w ich stronę, w stronę sukman, zwraca się przedewszystkiem oko widzów z galerji nietylko ze względu na ich barwność, ale i z innych, poważniejszych powodów. Kiedy się myśli o tylu rozhulałych po Austrji „polskich sejmach" i porównuje je z tym sejmem polskim, pragnęłoby się, by do tej wzorowej szkoły publicznego życia uczęszczało jak najwięcej tych maluczkich, którzy obecnie fachowej siły sejmu stanowić nie mogą, ale którzy w tem poważnem otoczeniu wyrabiają coraz bardziej i siebie samych i—typ posła ludowego, poważnego, ze sprawami publicznemi obznajomionego i roztrząsającego je spokojnie; typ, który przydać się może w przyszłości, gdy zdarzyć się może, że sukman więcej będzie w sejmie, niż ekscelencyj, lub gdy do wrót jego pukać pocznie kurja piąta.

Z.

ZNAK ZAPYTANIA.

NOWELA

Marjana Gawalewicza.

12)

Łagniewski z westchnieniem przerwał naszą rozmowę sentencją:

— Ach tak, to los wszystkiego na ziemi, a przedewszystkiem ciętych kwiatów!

Jej zaś przez chwilę pierś zafalowała silniej, podeszła do stolika i, wyjmując jedną z róż, wpięła ją sobie do gorsu i powiedziała:

— To tem bardziej trzeba je kochać, że na taką smutną dolę skazane.

Zwróciła potem znowu na mnie swoje duże, sarnie oczy i jakby niemi pytała zatrwożona:

— Co ci jest?... co ci się stało?... dlaczego mnie zbywasz półsłówkami?.. zkąd taka zmiana w tobie?

Ze względu na wuja jednak, mówiła z przybraną swobodą:

— No, dzisiaj chyba zejdziesz już do nas na obiad?... to niezdrowo siędzieć tak ciągle w zamkniętym pokoju. Pomizerniałeś, jak księżyc przez tych parę dni!... Ot, zejdź z nami lepiej zaraz; weźmiemy parasolkę, żeby cię słońce znowu nie napadło i nie pokłuło, jak pokrzywa, i pójdziemy się przejść trochę. Tak dawno nie grałeś; czy to nie tęskno do muzyki, gdy się ją kocha?... To przecie wstyd tak próżnować. Ja chodziłam codzień do Montebello i grałam za ciebie sama, bo tam... bo tam... najchłodniej teraz.

Chciała mi tem powiedzieć, że szukała miejsc naszej rozmowy, gdzie każde z nas «cząstkę swej duszy» zostawiło.

Wujek uśmiechnął się szyderczo i podejrzliwie spojrzał na mnie z pod oka, jakby się czegoś domyślał. Wymówiłem się, wykłamałem raczej, że jestem jeszcze słaby i boję się wychodzić na powietrze, aby mi się uderzenia do głowy nie powtórzyły; przyrzekłem zejść na dół po zachodzie słońca i odprowadziłem ich na korytarz.

— Przyjdź koniecznie,—szepnęła mi nalegająco, ściskając mnie mocno za rękę na pożegnanie,—muszę z tobą pomówić!...—i zeszła za Łagniewskim po schodach, a ja patrzałem za nią, jakby była gwiazdą, spadającą powoli w przepaść, — gwiazdą mojego szczęścia.

Na każdem piętrze zatrzymywała się, podnosiła głowę i ze smutnym uśmiechem przypominała:

— A przyjdź! przyjdź!... pamiętaj!

Muszę zatem zejść, bom obiecał i nie mam żadnej już wymówki, aby jej dłużej unikać, tem bardziej, że i Karol zachodził do mnie dziś dwa razy, dopytując się, jak się czuję i namawiając do zejścia.

Całe szczęście, że oni tam z Rajecką ciągle się jakiemiś majątkowemi sprawami zajmują i w papierach siedzą zagrzebani, rachują, piszą, podpisują i radzą, więc na mnie i na Dziutę nie tyle zważać będą.

Dzwonią właśnie na obiad; trzeba zejść, ułożyć twarz do uśmiechu, zasiąść do stołu, wziąść w ręce nóż i widelec i udawać, że jem.

O ironjo, ironjo życia!... umieraj z bólu i jedz pieczeń, aby taki wu jek Łagniewski nie zażartował z ciebie przy stole:

— Pan Seweryn musi być zakochany, bo stracił apetyt.

Czy to nie śmieszne?... obawiać się pozorów tego, co jest prawdą i faktem, co jest tragedją serca i wpadać w komizm... udawanego apetytu.

Ale życie składa się z takich głupich kontrastów i miewa swój konwencjonalny teroryzm, któremu oprzeć się nieraz niepodobna.

Chodźmyż jeść i grać komedję przy *table d'hocie.*

* * *

Powiedziałem jej nareszcie wszystko...

Powiedziałem wczoraj wieczorem w tej samej willi Montebello, która jest grobem naszych tajemnic, a w której mam szaloną chęć umrzeć; zatarasować wszyskie drzwi, popuszczać story, usiąść przy fortepianie, raz jeszcze zagrać «Warum» i w łeb sobie strzelić.

Tak, po co się zapierać?... mam takie myśli.

Może to na dzisiejsze prozaiczne czasy wybujały pomysł romantyzmu, może to spóźniony werteryzm, bohaterstwo z książki drukowanej jeszcze na bibule, anachronizm, wyszarzany szablon rozwiązywania takich sytuacyj, jak moja, ale co mi do tego!... na nic innego inwencja moja zdobyć się nie może.

Po co się silić na oryginalność, kiedy chodzi o to, aby znaleźć ja kiekolwiek wyjście i skończyć raz tę męczarnię?...

Powiedzą, żem zwarjował, żem był egzaltowany, żem głupiec, smarkacz, dzieciak, ale nie dbam o to,—niech sobie potem mówią, co zechcą, gdy mnie już nie będzie pomiędzy nimi.

Zdaje mi się, żem się zestarzał od wczoraj, i że moja młodość zwiędła, jak kwiat w ciągu godziny.

Powiedziałem jej całą prawdę:

— Nie możesz być moją!... nie możesz, Dziuto! ja nie potrafię być bratobójcą!... Myśmy się oboje pomylili okrutnie, myśląc tylko o własnej miłości.

On cię kocha, kocha spokojniej odemnie, ale głęboko, kocha, jak dojrzały mężczyzna, bez uniesień, bez frazesu, bez poezji miłości, ale włożył w to uczucie całą swoją istotę, całą swą wiarę, całe szczęście swojego życia. On jest tak pewny twej wzajemności, że gdyby mu cały świat ją zaprzeczał, słuchałby z uśmiechem, dopókiby z twoich ust nie usłyszał: «nie kocham cię!»... A wobec tego, czy zdołałabyś mu to powiedzieć teraz, ty?... skoro ja, mężczyzna, nie śmiałem?... skoro ja przeląkłem się jego oczu, jego wyrazu twarzy, na samo przypuszczenie, że mógłby cię utracić?... Powiedzieć mu to, znaczyłoby wcisnąć mu pistolet do ręki. On nie jest z tych, co grożą, co pozują, co straszą, to nie marzyciel-entuzjasta, to człowiek odpowiedzialny za swoje słowa i uczynki!...

Ona stała przedemną tak blada i martwa, jak posąg z marmuru, tylko oczy jej zrobiły się duże, jak ciemne malwy, bez połysku, bez życia, bez myśli, jakby dusza przez nie uciekła i odleciała gdzieś po za

J. DANNECKER.



ARJADNA.

Najgłośniejsze to dzieło wielkiego rzeźbiarza niemieckiego, stworzone przezeń w 1813 r., jest własnością rodziny bankierskiej Bethmannów i znajduje się w specjalnym pawilonie w parku ich posiadłości we Frankfurcie nad Menem. Świetny «Chrystus» Danneckera, który wywołał niezliczone polemiki, nabyty został przez cesarza Aleksandra I i znajduje się w Petersburgu. Danneckera popiersia Goethego i Schillera są najpopularniejszemi wizerunkami obu poetów. Twórca «Arjadny», rodem ze Sztuttgardu, zmarł w 1836 r.

światy, nie mogąc słuchać tego, co mówiłem.

Zdawało mi się, że mówię do kamienia, nie do żywej istoty; dopiero, kiedym ujął jej ręce sztywne, zlodowaciałe, ręce trupa, ocknęła się nagle i wróciła do życia.

— Więc co?—nie rozumiem!...— wymówiła nieprzytomnie i patrzała dalej przed siebie w pustą przestrzeń,—więc co?... więc co?...—powtarzała tylko, jakby nie mogła ogarnąć myśli swoich.

A ja zrozpaczony stałem przed nią i wstrząsałem ramionami, błagając:

— Dziuto, Dziuto!... nie zabijaj mnie takiem spojrzeniem!... wróć do zmysłów, Dziutko moja jedyna!

Łypała powiekami, jak zbudzone dziecko w chorobie, i siląc się zapanować nad sobą, szeptała szybko, machinalnie:

— Dobrze, dobrze!... ale co?... co z tego?...

O, jak ja to pojmuję, że są rzeczy, których serce kochające zrozumieć nie może, są konieczności, których uznać nie chce, są niebezpieczeństwa, które lekceważy,—i wtedy staje się głuche i nieme, uparte i zrezygnowane na wszystko, byle nie na to jedno, co być musi!...

— Musi zostać tak, jak było — powiedziałem jej—musi się stać to, co się stać miało. Dziuto, nie może być inaczej; my tego nie zmienimy, to już nie w naszej mocy!

A ona, jakby w jednej chwili wszystko nagle przejrzała, objęła myślą i zrozumiała całą sytuację, wpiła mi obie ręce w ramiona, twarz przybliżyła do mojej twarzy i z jakimś okropnym wyrzutem patrząc mi w oczy, zawołała:

— I ty mi to mówisz?... ty?... ty?... ty?...

Potem wyprężyła się, jak struna, głowę przegięła w tył i wstrząsnęła nią, że się jej aż włosy rozplotły, dłońmi ścisnęła sobie skronie i, jak lwica po klatce, chodzić zaczęła szybkiemi krokami po pokoju.

Widziałem, że cała istota podniosła w niej bunt.

Moje słowa dotknęły ją boleśnie i zadrasnęły w niej coś najdrażliwszego.

I to ja, ja musiałem jej to powiedzieć?... ja, który ją przecie kocham i jestem przez nią kochany?... z moich ust miała usłyszeć taki wyrok i w takiej chwili?...

O, Boże, jak marnym i jak nikczemnym, ale jak niewymownie nieszczęśliwym czułem się wobec ciebie, Dziuto, po tych słowach!

A jednak, cóż mi innego pozostawało?... czyż ja mogłem okłamywać ciebie i siebie, że jest dla nas jeszcze jakieś inne wyjście, jakiś możliwy i godziwy środek pogodzenia tych wszystkich sprzeczności, w które nas życie powikłało?...

Los mi postawił dylemat bez rozwiązania: stracić ciebie, lub stracić brata.

I co mam wybrać?... na co się zgodzić?

Choćby się serce uparło przy swoich prawach i zagłuszyło głos sumienia i obowiązku, jakaż przyszłość dla nas obojga?

Czyż mógłbym cię posiąść kiedykolwiek, choćby Karol nawet pogróżki swej nie wykonał, choćby został przy życiu?...

A gdyby jednak straty twej nie przeniósł?... gdyby nie przeżył tego zerwania?...

Myśli mi się mącą i nie umiem wyobrazić sobie tej przyszłości i jedno czuję tylko, że mi jest źle i że już nigdy lepiej być nie może, i takim biedny, taki nędzarz, taki słaby i zmięty, jak liść zerwany i zdarty na wietrze, który mnie niesie Bóg wie dokąd i po co!

A ty?... ty zacięłaś usta z dumą ofiary, która idzie na stracenie, i milczysz, i od tej ostatniej naszej rozmowy nawet nie spojrzałaś na mnie, jakbym ja był winien naszej niedoli. A to milczenie twoje, Dziuto, przygnębia mnie najbardziej ze wszystkiego, bo się obawiam, czyś moich słów źle sobie nie wytłómaczyła i czyś nie przestała wierzyć w mą miłość dlatego, że się ciebie wyrzec muszę.

Zniósłbym łatwiej całą wieczność potępienia, niż jedną chwilę twojej pogardy.

* * *

Jeżeli kiedy było mi źle, to teraz nie do zniesienia; mam uczucie, jak gdyby mi usta zakneblowano i na tortury wzięto.

Snuję się, niby cień, i uciekam od ludzi w lasy, w pola, godzinami całemi tłukę się po wertepach, byle tylko nie widzieć nikogo, nie słyszeć głosu ludzkiego, nie czuć na sobie cudzych spojrzeń.

Całe szczęście, że nastały skwary tak dokuczliwe, iż wszyscy moi upadają poprostu ze znużenia i osłabienia.

Nikt się nie dziwi mojej nieobecności; przypuszczają, że się chowam gdzieś w cień i, jak Łagniewski, rozebrany do koszuli, dyszę zaledwie lub drzemię w ukryciu.

W powietrzu unosi się znowu odurzający zapach żywicy, spalenizny, spieczonych myrtów i cyprysów; miewam bóle głowy i senność mnie napada.

Przynajmniej wtedy przestaję myśleć i nie czuję się tak samotnym, fizyczne wyczerpanie pogrąża mnie w jakąś nirwanę.

Zato z wieczorem rozpoczyna się znowu moja męczarnia.

Sam... sam... sam jestem z moim bólem i smutkiem, i tęsknotą bezdenną.

Próbowałem grać, ale mi palce drętwieją i dźwięk fortepianu razi mi nerwy; doznaję poprostu takiego uczucia, jak gdybym sobie każdym naciśniętym klawiszem po łbie walił.

Powiadają, że sztuka może wypełnić życie, dać zapomnienie, być pociechą; może tak jest, ale chyba wtedy dopiero, gdy się wypłakało wszystkie najkrwawsze łzy, gdy nieszczęście przeszło, gdy się człowiek choć trochę oswoi z bólem i cierpieniem.

Nie, to nie prawda, aby we mnie była natura artystyczna.

Mógłbym być artystą, oddanym sztuce, gdybym był szczęśliwym; za dużo egoizmu ludzkiego jest we mnie, nie umiem wyjść z siebie i oddać się czemu innemu całkowicie, myśląc tylko o niej i o sobie.

Potrzebuję, aby ktoś do mnie mówił serdecznie, poczciwie, z współczuciem i zrozumieniem mojej doli, a nie żebym ja przemawiał przez martwy instrument, w który muszę wlewać własną duszę.

Co mi z tego, że gram, że słucham siebie, kiedy wtedy dwa razy tylko słyszę własne jęki i skargi, jedne w sercu, drugie w dźwiękach fortepianu?...

To mnie tylko męczy i rozstraja jeszcze bardziej.

Co począć z sobą?... niema miejsca takiego na świecie, gdzieby mi dobrze było,—niema, prawda Boże?... Ty przecież jesteś litościwy i miłosierny, Tybyś mi wskazał, gdzie odnaleźć mogę mój spokój zgubiony!

Przeglądałem dziś pierwsze karty swego pamiętnika z gorzkim uśmiechem i gorzkiemi łzami. Kilka tygodni temu uważałem się za najszczęśliwszego człowieka na ziemi, a dziś?... jakiem szyderstwem brzmią te wyrazy, które niebacznie wypisałem na początku.

Młodość moja zwarzona, jak kwiaty wypalone na słońcu; wczoraj śmiały się jeszcze do nieba, dziś powiędłe głowy zwiesiły smutnie ku ziemi i rozpłakały się opadłym liściem, który lada wietrzyk z nich osypuje.

Z Dziutą jesteśmy, jak obcy; nie rozmawiamy teraz wcale ze sobą, nie zbliżamy się nawet do siebie, nie patrzymy jedno na drugie.

Jakaś ponura, zacięta troska zawisła na jej czole; brwi ma ściągnięte, usta blade, oczy zamyślone i wpatrzone w dal, jakby ścigały coś odlatującego.

Matka spogląda na nią z niepokojem, Łagniewski wzrusza ramionami i powtarza:

— Po jakiego djabła my się tu

żywcem smażymy na wolnym ogniu?... ja wyjeżdżam!

A Karol spokojny, jak zawsze, patrzy tylko z pod oka na narzeczoną i bada ją bystrem spojrzeniem sędziego, ale nie domyśla się powodów tej zmiany.

Pytał mnie już kilka razy:

— Czyście się wy posprzeczali o co z panną Jadwigą?

Zaprzeczyłem, naturalnie, alem się zaczerwienił przytem, jak student.

— To dziwne — mówił— coś się jej stało od kilku dni. Może ma jaką przykrość, której nawet mnie zwierzyć nie chce.

Widzę, że ma wielką ochotę porozmawiać z nią, ale przez delikatność nie śmie jej badać.

I coraz cięższa robi się między nami atmosfera.

Niekiedy mam o c h o t ę krzyczeć:

— Ależ nie bądźcie ślepi, przejrzyjcie, przecież my się kochamy i jesteśmy nieszczęśliwi!... oboje znosimy męczarnie okrutne i wijemy się z bólu z zagryzionemi ustami, czyż nie widzicie tego?... nie poznajecie?... nie domyślacie się niczego?...

Otwieram usta i dławię się.

Nie, ja tego nie powiem nikomu, umrę, zaduszę się własnym bólem, a nie zdradzę naszej tajemnicy.

To chyba sam Bóg zasłania im tak oczy dłonią, aby nie dojrzeli nieszczęścia. Bo coby było, gdyby odgadli, co jest między nami?...

Napisałem dziś list do matki, ale go nie miałem serca wysłać, tyle w nim było goryczy i smutku; onaby pewnie przeczuła, co się we mnie dzieje i jej matczyne oko z tak daleka dostrzegłoby może to, czego oni tu nie widzą.

Nie chcę, abyś płakała, matko moja, nad takim listem i po nocach bezsennych rozmyślała, co się twojemu Sewerkowi stało, że taki zbiedzony i beznadziejny, i tak mu życie cięży, jakby je dłużej od ciebie dźwigał na tym świecie.

Toż ja się postarzałem w tych ostatnich tygodniach do niepoznania; oczy mi zapadły, twarz się przeciągnęła i wychudła, jakieś bruzdy wyżłobiły mi się około ust i na czole, przybyło mi ze dwadzieścia lat.

Od jednej iskry zatliło się coś we mnie—i zwęgla, i popieleje co dzień więcej.

Żeby miłość tak zgryzła człowieka wewnątrz, to nie do wiary!...

Zobojętniało mi tak wszystko, że już nie widzę nawet tego, czem się zachwycałem, i gdyby te góry odeszły, te lasy pospadały na ziemię to jezioro wyschło do dna, możebym nawet nie zauważył tego i nie widział, że dokoła mnie pustka i martwota.

Swiat jest piękny i uroczy, ale tylko dla tych, co szczęśliwemi oczyma na niego patrzeć mogą. To pewnie ani mądre, ani poczciwe, co tu napisałem, ale cóż zrobię, kiedy mi się tak wydaje?...

Pisałem o tem do księdza Hieronima, bo musiałem się przed nim wyspowiadać z mojego utrapienia; nie dotykałem żadnych szczegółów, ale mu skreśliłem stan mojej duszy i pytałem, czy jest jaki środek na ból, który, jak rak, zjada serca ludzkie.

«Zgubiłem spokój, — czy Wasz św. Antoni, mój Ojcze, pomaga odnaleźć taką zgubę?... Jeżeli tak, to czem można takiego cudu uprosić dla siebie?...»

Ciekawy jestem, co mi odpowie.

* * *

Przeczytałem moje wczorajsze gryzmoły i przekreśliłem wszystko, bo mi wstyd przed samym sobą.

Widzę, że ulegam zanadto chwilowemu wrażeniu, stałem się nerwowym i nadczułym, jak histeryczka, a przecież jestem mężczyzną. Fe, wstyd!... To, co napisałem o sztuce, jest bluźnierstwem przeciw niej w ustach artysty.

Stary Bemol wziąłby się za głowę i zwymyślał mnie od smarkaczów. Dla niego sztuka to bóstwo, któremu można ślubować wierność na całe życie, tylko trzeba ją kochać nadewszystko.

Wogóle trzeba kochać coś nadewszystko, ale to coś musi być piękne, wzniosłe, ogromnie dobre i boskie, nie związane tylko z naszem życiem codziennem, z tą ziemią i z tą ziemską doczesnością, bo dopiero taka miłość może udoskonalić serce, że potem i tę resztę godną kochania, kochać potrafi szlachetniej, uczciwiej, lepiej, inaczej.

Ale to «coś» musi być duże, wysokie, sięgać po nad poziom zwykłych spraw ludzkich, bo wtedy i człowieka podniesie w górę, pomoże mu, by urósł duchem, nie pozwoli mu skurczać się i maleć.

I miłość ma swoje rodzaje małe i wielkie; mała miłość rozdrabia duszę, wielka ją powiększa, spaja silniej jej cząstki, rozszerza jej sferę.

Można czuć mocno, a kochać mało.

Takiej dużej miłości brakło mi dotąd w życiu. Kocham Dziutkę, to prawda, ale gdybym kochał ją tylko samą i nic więcej... pozostałbym nieszczęśliwym na zawsze z chwilą jej utraty, nie znalazłbym nic na wypełnienie tej pustki w świecie, jaką jej ubytek musiałby mi zostawić, żadnego pocieszenia w rozpaczy i smutku, żadnego oparcia dla siebie.

Może to Bóg umyślnie zesłał mi takie doświadczenie, abym przejrzał i spojrzał na własne serce i zobaczył, że ono cierpi, bo zaciasne, bo nie było w niem żadnej większej, wyższej, idealniejszej miłości.

I dlatego rozumuję tak wązko, tak poziomo, bo po za sferą osobistych uczuć nie miałem nic, tylko tę miłość gorącą, ale przywiązaną do jednostki, a jednostka—to zamały cel dla dużego serca.

Zkąd mi się wzięły dziś takie refleksje?... Siedziałem nad jeziorem i patrzałem na zachód słońca po dniu upalnym.

DCN



WIDOK NA MORZE PÓŁNOCNE W OŚWIETLENIU POPOŁUDNIOWEM. *(Według amatorskiego zdjęcia fotograficznego).*

WALKA Z NĘDZĄ.

BRAT ALBERT.

Proszę sobie wyobrazić typ młodego człowieka, który kocha bardzo życie. Jest to młodzieniec wesoły, posiadający dużo niezaspokojonych jeszcze pragnień, naładowany projektami, do którego wszystko się uśmiecha. Przyszłość posiada dla niego mnóstwo czarownych przyrzeczeń, teraźniejszość karmi go powodzeniem, sympatją ludzi, a nawet sławą. Bohater nasz jest bowiem malarzem, przywiązany jest serdecznie do sztuki, i posiadając bożą iskrę talentu, nie potrzebuje wcale zajmować miejsca wśród wyrobników pędzla, dla których rozgłos jest marą nieuchwytną, a protekcja *„kunsthändler'ów“* jedynym szczeblem do osiąg-

nięcia. Nawet bardzo surowi krytycy oceniają jego rzeczy pochlebnie i wróżą mu różowe horoskopy. A że aureola artysty, chociażby wybijającego się dopiero na wyżyny sztuki, jest kapitałem, który obficie procentuje w stosunkach towarzyskich, więc młody malarz jest wszędzie widziany chętnie, lśniące podłogi salonów są jego gruntem powszednim i życie płynie mu jak uwertura do większej symfonji, która będzie często, bardzo często wieńczoną kwiatami i grzmotem oklasków...

A teraz inny typ.

Mamy przed sobą zakonnika-ascetę. Wysoki, pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w habit surowego zakonu świętego Franciszka. Przed kostjumem tym wzdrygnąłby się rozkarnawałowany dandys. Grube szare sukno, przepasane w biodrach zwykłym sznurem, nie musi bardzo przyjemnie otulać ciało nawet człowieka, który miał już czas przyzwyczaić się do niego. Na nogach sandały drewniane, u boku różaniec— oto wszystko. Spojrzyjmy na twarz tego zakonnika. Mieszka na niej surowy spokój i równowaga ducha, jakiej nie doznaje żaden z sytych bankierów. W obliczu tem jest coś nieziemskiego, coś uwolnionego zupełnie z więzów namiętności ludzkich, coś, co sobie drwi łagodnie z burzliwej fali interesów tego świata. Wydaje się, jakby ten człowiek myślami przebywał na brzegu wieczności, zkąd wszystko, co się da ogarnąć wzrokiem i co dla nas posiada znaczenie pierwszorzędne, wydaje się tak nieskończenie drobne, nikłe i marne.

Te oba typy, tak krańcowo różne i niepodobne do siebie, to jeden człowiek. Głośny zakonnik i organizator przytułków dla nędzarzy we Lwowie i w Krakowie. Brat Albert jest tym samym, który przed laty znany był w salonach warszawskich, jako utalentowany artysta-malarz, Adam Chmielowski, brat wybitnego krytyka literatury. Nie często zapewne w życiu jednego człowieka spotyka się tak dziwne i gruntowne metamorfozy. Chciałoby się prawie uciec do gotowej formułki, która podobne objawy klasyfikuje, jako schyłkowość i wytwór wzmożonego szamotania się duszy ludzkiej w czasach wikłających się coraz bardziej zagadnień, gdyby klasyfikacja taka nie była zbyt banalną i płytką, gdyby dzieje umysłowości nie wykazywały podobnych zjawisk w czasach dawniejszych, jak nasze. Tajemne głębie ducha ludzkiego są pokładem, na którego transformację nie mógł oddziałać tak krótki stosunkowo przeciąg czasu, jak okres człowieka kulturalnego i dlatego wolę postaci brata Alberta nie podciągać pod strychulec schyłkowości. Bez względu na formułki pozostaje ona niecodzienną i wysoce zajmującą dla psychologa, a ponieważ dziennikarzowi nie śmie być obcą żadna forma zjawisk, postarałem się zbliżyć do brata Alberta.

* * *

Brata Alberta nie łatwo jest schwytać. Nie „urzęduje“ nigdzie. Jako zakonnik, który poświęcił się niesieniu pomocy najuboższym, bo bezdomnym nędzarzom, jest ciągle w podróży i na kweście. Kilkoletnia działalność tego nowożytnego ascety wykazuje w swoim bilansie już trzy stale czynne przytułki: przytułek w Krakowie i dwa we Lwowie, osobny dla kobiet, a osobny dla mężczyzn. Oba ostatnie znajdują się prawie za miastem przy drodze kleparowskiej, u stoku góry, na której 31 lipca 1847 r. powieszono Teofila Wiśniowskiego. Są to ładne murowane domy, wzniesione kosztem miasta. Każdy z nich mieści wewnątrz minjaturową kolonję, która sama zaspakaja wszystkie swoje potrzeby. Są więc tu piekarnie, warsztaty szewckie, krawieckie i stolarskie, szkółka dla dzieci, kaplica, a przedewszystkiem duże, co prawda tylko zwykłemi ławkami obstawione sale, do których ma prawo wejść każdy bezdomny nędzarz z miasta i przenocować.

Przed dwoma laty zwiedzałem męzki przytułek nocny o drugiej po północy w towarzystwie agenta policji, który tutaj często poszukuje zbiegłych i ukrywających się ptaszków. Nie zapomnę nigdy otrzymanego wówczas wrażenia. W ogromnej sali w mroku, który rozjaśniał jeden z braci niesioną przodem latarnią, wiło się w niespokojnym śnie kilkaset leżących pokotem ciał ludzkich, półnagich lub okrytych łachmanami, podartemi na strzępy. Kaszel suchotników i chrapanie śpiących zlewały się w okropną melodję, jaką usłyszeć można tylko w takich, jak te, zbiorowiskach nędzy społecznej, a duszna atmosfera zmuszała mimowoli do zatamowania oddechu i przytknięcia chustki do ust. A jednak jakiem niewypowiedzianem dobrodziejstwem dla tych nędzarzy jest dom, w którym mogą bezpłatnie przepędzić noc, kiedy deszcz i śnieg uniemożliwiają noclegi na trawnikach ogrodu miejskiego.

Mieszkańcy przytułków dzielą się na dwie kategorje: do pierwszej należą „niebieskie ptaki“, które zjawiają się tutaj przelotnie po to tylko, aby noc przepędzić; do drugiej tacy, którzy przebywają tu stale i pod dozorem braci trudnią się rzemiosłami, uczą się na nowo modlić i zaznajamiają się nawet z sztuką czytania i pisania. Są to najpiękniejsze zdobycze brata Alberta, ludzie zwróceni społeczeństwu, wyleczeni z włóczęgostwa, próżniactwa i występków. Wyuczywszy się rzemiosł, wyrabiają rozmaite przedmioty zbytu, jak meble, z których dochód, wraz z wynikami kwesty brata Alberta, obracany bywa na potrzeby przytuliska. Przeciętnie korzysta dziennie 200 nędzarzy z dobrodziejstwa sali noclegowej. Jest to, wedle wyrażenia się brata Alberta, „bezpłatny hotel dla ubogich“, do którego wchodzi kto chce i wychodzi kto chce. Braci, posługujących gościom tego hotelu, jest pięciu, sióstr siedm. Schronisko dla kobiet mieści się w później wybudowanym piętrowym domu, ma lepsze urządzenie i większe wygody, o ile ten wyraz wogóle może posiadać tutaj prawo obywatelstwa.

Chcąc mówić z bratem Albertem, musiałem poprosić braci, ażeby zawiadomili mnie, gdy do Lwowa przybędzie z kwesty. Zagląda tu bowiem bardzo rzadko i na krótki czas tylko. W przytulisku znalazłem się w słotny i ponury dzień, który potęgował jeszcze wrażenie nędzy, jaka zawarła się w tych murach. Przed domem czekał na mnie, przechadzając się mimo niepogody z odkrytą głową, brat Józef. Weszliśmy do przedsionka, w którym urządzona jest prowizoryczna kapliczka, a raczej tylko ołtarz i konfesjonał. Była właśnie niedziela i godzina piąta popołudniu. Lokatorowie „hotelu bezpłatnego“ zalegli kupą kapliczkę i klęcząc, śpiewali pieśni pobożne. Na przedzie rząd dzieciaków, zabłąkanych gdzieś z ulicy, między niemi maleństwo może czteroletnie—dalej w głębi starsi. Atmosfera już tutaj jakaś dziwna, uderzająca człowieka, przybyłego z gwarnych ulic śródmieścia.

* * *

Za chwilę znalazłem się z bratem Albertem w jego gabinecie. Jest to mały pokoik, w którym znajduje się dębowe łóżko, prosty, oheblowany tylko stół, dwa krzesła, jakaś szafka i skrzynia. Na ścianie krzyż. Brat Albert miał dość czasu i poświęcił mi około dwóch godzin na rozmowę. Zanim ją opiszę, uzupełnię jeszcze nakreśloną na wstępie sylwetkę mojego interlokutora. Adam Chmielowski jest wysokim, mocno już posiwiałym mężczyzną. Nosi krótko strzyżoną brodę. Na nosie *pince-nez*, na palcu lewej ręki złota obrączka—to jedyne szczegóły, które kłócą się z ascetyczną powierzchownością zakonnika. Duże, spokojne oczy, nieco tylko zmęczone, pozwalają przejrzeć tę zrównoważoną, szczęśliwą i dziwnie granitową duszę. Ręce zgrubiałe nie przypominają nic umarłego już dawno artysty. Głos silny, męzki, brzmi chwilami prawie rozkazująco i nie ma w sobie słodyczy i pokory, której się w nim instynktownie oczekuje. Brat Albert jest kaleką—ma jedną nogę drewnianą. Kiedy mu ją odejmowano przed laty, nie pozwolił się uśpić i sam trzymał świecę operatorom.

Ten szczegół, charakterystyczny dla człowieka, który znalazł w sobie dość energji woli, ażeby z wyżyn kultury zejść na samo dno społeczne, zawdzięczam opowiadaniu dawnych przyjaciół Adama Chmielowskiego, pp. Rychterów. Profesor politechniki lwowskiej, p. Józef Rychter, zna dzisiejszego brata Alberta jeszcze z jego warszawskich czasów i ze wspólnych studjów w Zurychu. On sam nie mówi o sobie nic zgoła — uważa to wszystko, co przeżył przed przywdzianiem habitu, za przekreślony ustęp w księdze życia.

Łatwo sobie wyobrazić, ile kwestyj nasuwało mi się do poruszenia, kiedy zdobyłem czas na rozmowę z tym niezwykłym człowiekiem. Chciałoby się przedewszystkiem zapytać o cały ów proces duszy, jaki przebył na rozdrożu pomiędzy światem a askezą, o wpływy, które działały na jego postanowienie, gdy zrywał z przeszłością, o walkę dawnych i nowych ideałów. Niestety, brat Albert jest hermetycznie zamknięty przed badaniem dziennikarza, któremu chodzi o zdobycie tak cennego „dokumentu ludzkiego“. Pomimo onieśmielenia, jakie czułem wobec surowego mnicha, próbowałem z pod jego habitu wydobyć cząstkę dawnego człowieka, lecz prędko musiałem dać za wygranę i ograniczyć się do rozmowy o zewnętrznych stosunkach, których bezpośrednio dotyka się brat Albert. A jest to materjał niezwykle ciekawy. W powodzi opinij ludzi, żyjących życiem publicznem, więc subjektywnie stronnych w sądach swoich, zdanie zakonnika, który wsku-

tek swoich teologicznych zapatrywań na świat i równocześnie wielkiego charakteru, posiadł idealną bezstronność, nabiera wyjątkowej wartości.

Rozmawiałem z bratem Albertem o kwestji społecznej. Zna ją nie na podstawie teorji, lecz z doświadczenia, i jeżeli nie całą, to z pewnością jej odłam najbardziej zaogniony. Ociera się on o najniższy proletarjat, ten, który nie dobija się jeszcze prawa wyborczego, nie ma organizacji i tonie w najstraszliwszej nędzy, ciemnocie i występkach. Nie dociera tu jeszcze filantrop, ani polityk socjalistyczny. Pierwszy szuka dla siebie terenu, na którym mógłby działać bez zbyt wielkiego wysiłku, i wchodzi pod przystępne, zaopatrzone adresem poddasza,—drugi uspołeczniać chce warstwy, które, w porównaniu z wychowankami brata Alberta, stanowią arystokrację proletarjatu, mają mieszkania, rodziny, popędy społeczne i poczucie należących się im praw. Tutaj zjawia się tylko zakonnik.

Brat Albert tłómaczył mi pobudki i charakter swojej działalności w następujący sposób:

— W społeczeństwie naszem nie jest eszcze dostatecznie uznaną prawda, że są potrzeby, których ogół nie ma prawa odmawiać jednostkom, a takiemi potrzebami są: chleb i dach nad głową. Przyczynę tego ujemnego stanu upatruję w wygórowanym egoizmie naszych czasów. Zasada miłości bliźniego nie przeniknęła nas jeszcze dostatecznie, a przecież owe tysiące najgorszej kategorji nędzarzy, to także ludzie, tacy sami jak ci, którzy mieszkają w kamienicach, tylko nie są w stanie upomnieć się o siebie. Gmach miłosierdzia jest u nas bez fundamentów, któremi powinny być schroniska dla bezdomnych, dające im łyżkę strawy i nocleg. Kiedy w r. 1889 zakładałem pierwsze przytulisko w Krakowie, mądrzy panowie mówili: „Pomnożycie tylko próżniaków, chleba wam nie starczy na rozdawanie, a przytułkami będzie trzeba zabudowywać całe ulice“. Praktyka pokazała co innego. Niema żadnego zalewu, owszem, ubogich ubywa. Komisarz policji krakowskiej po pierwszym roku istnienia schroniska powiedział mi, że cyfra spraw, oddanych w tym czasie przez policję sądowi, obniżyła się z dotychczasowej przeciętnej liczby 5 tys. o tysiąc. Jest to potężny dowód, przemawiający za potrzebą i dobroczynnym wpływem podobnych instytucyj. Jednakże jak daleko jesteśmy jeszcze od tego, ażeby każde miasto miało je u siebie! Wogóle zrobiłem spostrzeżenie, że zbiorowy rozum nie jest nawet tak wielki, jak rozum pojedyńczy zwykłego chłopa na wsi. Chłop nigdy nie odmówi proszącemu noclegu i chleba, bo wie, że może on go z zemsty podpalić, a społeczeństwo zdaje się nie myśleć o tem, że mnoży podpalaczy, którzy szkodliwi są już pojedyńczo w wielkiej zaś masie mogą stać się niebezpiecznymi. Spotykałem sam dużo razy małych chłopców, obdartych i zgłodniałych, którzy mi mówili wprost w oczy: „Jeżeli brat nie da jeść, to pójdę i ukradnę“. A były to przecież dzieci.

W tem miejscu skierowałem rozmowę z doświadczeń na uogólnienia. Wyłuszczyłem kwestję mniej więcej w ten sposób: Nędza, o którą się ociera brat Albert codziennie, wzrasta bez zaprzeczenia, zwłaszcza u nas na wsi, gdzie ludność ubożeje przerażająco szybko, a w związku z tem stoi rozrost społecznych powikłań. Miłosierdzie, niewystarczające i dzisiaj, może się stać pewnego poranku bezcelowem, lub w najlepszym razie zachować tylko znaczenie podmiotowe, czyli stracić swoją główną rację bytu. W takim stanie rzeczy staje się konieczną jakaś powszechna reforma stosunków, któraby usunęła przyczyny ubóstwa i tem samem odebrała miłosierdziu misję społeczną, jakiej ono wypełnić nie może, a pozostawiła mu tylko działalność jednostkową z jej zaletami umoralniającemi. Z wielu projektów reform najradykalniejszą jest ta, która doradza uspołecznienie narzędzi wytwórczości. Byłaby to więc reforma czysto gospodarcza, nie naruszająca w istocie swojej sumień ludzkich. Zwróciwszy uwagę, że w XVII wieku już marzył o czemś podobnem zakonnik i ksiądz Tomasz Campanella w swojej książce o „Państwie słonecznem“, zapytałem brata Alberta, jak on zapatruje się na socjalizm i czy uważa za możliwe pogodzenie go z duchem religji chrześcjańskiej?

Nie łudziłem się wcale, że w odpowiedzi otrzymam szeroki jakiś i drobiazgowo wypracowany program społeczny. Szło mi raczej o instynktowne, że tak powiem, oszacowanie kolektywizmu ze stanowiska religji — przez człowieka, który, nie będąc świeckim księdzem, jest wolny od wszelkich sympatyj politycznych i może wznieść się po nad niechęci stronnictw. Ale brat Albert okazał się nie reformatorem, lecz anachoretą chrześcjańskim.

— Nie mogę panu dać zadawalniającej odpowiedzi. Od wielu lat jestem odcięty od świata, nie śledzę ruchu społecznego, który w wielu razach jest dla mnie czemś zupełnie nieznanem, a czytam tylko Ewangelję i Naśladowanie św. Tomasza. Ale powiem panu tak: Jak się społeczeństwo rządzi, jaki posiada ustrój, to jest rzecz drugorzędna. Duch, który je ożywia—oto wszystko. Stosunki społeczne, teraźniejsze nie są wzorowe, ale wina złego, które jest na świecie, leży w braku wiary. Ja sądzę, że szczęśliwym można być wszędzie, bo wszędzie można być zbawionym. Korzyści ekonomiczne są przemijające—wiecznym jest tylko duch. Nie uważam miljonowych bankierów wcale za szczęśliwszych od moich ubogich. Przyjdź pan kiedy tutaj i zobacz, jak oni umierają, bez tchórzostwa, spokojnie, z ufnością. Jest to w moich oczach najwyższy egzamin dojrzałości człowieka.

Nie można było nic odpowiedzieć na ten argument. „Najwyższy egzamin“ ludzki trafił mi do przekonania i trzeba sobie było powtórzyć starą prawdę, że szczęście nie da się ująć w żadne formułki i musi pozostać w granicach subjektywnego odczucia. Wprawdzie brat Albert przeoczył, że duch znajduje się, niestety, w ścisłej zależności od materji, a nędza krańcowa i ciemnota utrudnia drogę do zbawienia, lecz na tych usterkach nie straciła w moich oczach nic ta silna, jednolita i prawie fanatyczna w swojej zaświatowości postać zakonnika. Chwilami miałem nawet wrażenie, że brat Albert uważa istnienie nędzy za konieczne, ażeby można było spełniać dzieła miłosierdzia, lecz była to z pewnością pomyłka, popełniona przez człowieka, który nie umie dość dobrze wżyć się w potęgę wiary, przenoszącej kamienie.

Jeszcze zapytałem brata Alberta, czy uważa swoją działalność za czyste miłosierdzie, czy też świadomie nadaje jej znaczenie społeczne.

— Społeczny charakter ma nasza praca mimowoli. Wyrywając nędzy najniższy proletarjat, odciągamy wszelkiej rewolucji straż przednią niezadowolonych, a zdeterminowanych na wszystko desperatów. To są ludzie, nieposiadający dosłownie nic do stracenia. Aby ich jeszcze lepiej scharakteryzować, powiem panu, że to, co my im dajemy i co ich zadawalnia, jest za marne nawet dla żebraków, między którymi zresztą zjawiają się coraz częściej legendowi bogacze Niestety, raz jeszcze powtarzam, że ogół błądzi, nie troszcząc się o nich. A jednak we Lwowie przeciętnie 700 ludzi nie ma. w nocy dachu nad głową...

W tej chwili w kapliczce odezwał się dzwonek na Anioł pański. Brat Albert ukląkł na środku izdebki i szeptem odmawiał modlitwę. Patrząc na tę wysoką postać, schyloną pokornie i przenoszącą się myślami w sferę owego szczęścia absolutnego, za którą napróżno tęskni duch ludzki, odarty z tęczowych osłonek wiary, pomyślałem sobie: „Ten człowiek zdał już także egzamin dojrzałości“.

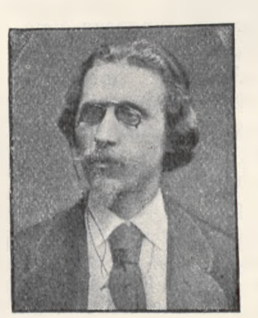
Pełka.

Lwów.

BOLESŁAW SYREWICZ.

Warszawa, 10 lutego.

Utalentowany rzeźbiarz, człowiek dobry i zacny, już od lat kilku jakby straconym był dla sztuki i społeczeństwa. Złamany ciężką chorobą, Syrewicz pracować przestał, i dokoła imienia, otoczonego nawet przez czas pewien zasłużonym rozgłosem, poczęła robić się cisza. Pamięci ludzkiej przypomniała artystę—śmierć, pani surowa, ale i dobrotliwa czasem. Pokój wieczny zestąpił w to gorące niegdyś serce; ukojenie niebytu położyło kres gorączkowej doli-niedoli tej artystycznej duszy. Urodził się Bolesław Syrewicz w Warszawie w roku 1835; kształcił się w zawodzie rzeźbiarskim początkowo u Piwarskiego, następnie w Berlinie, Monachium i Rzymie. Powróciwszy do kraju w 1867 r., zamieszkał nastałe w Warszawie i oddał się z zapałem pracom rzeźbiarskim.



Przypomnijmy sobie wybitniejsze jego dzieła: płaskorzeźbę w kościele św. Jana w Warszawie, popiersie Chopina w Towarzystwie muzycznem, popiersie Moniuszki, Karnickiego, jenerała Lachnickiego i wiele innych; grupę św. Walentego przed szpitalem

w Kutnie, nadgrobek ks. rektora Adama Jakubowskiego w warszawskim kościele św. Krzyża; pomniki Królikowskiego i Wisnowskiej na Powązkach, statua Wenery w Łazienkach—że pominiemy wiele prac pomniejszych. Widniał w każdej z nich talent, na szlachetnych kształcony wzorach, wybijający się zwycięzko z pod krępujących go więzów narzuconego częstokroć artyście tematu. Zostawił nam Syrewicz po sobie kilka rzeczywistych dzieł sztuki i pamięć o człowieku, chętnym do każdej obywatelskiej wspólnej pracy.

M. M.

PRAWA WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ W PROWINCJACH ZACHODNICH.

[„Права по землевладѣнію въ Западномъ Краѣ". Б. Г. Ольшамовскаго. Petersburg, 1899].

Autor broszury, której nagłówek wypisaliśmy, podzielił swą pracę na cztery rozdziały, poświęciwszy pierwszy rzutowi oka na dzieje praw własności ziemskiej w prowincjach zachodnich przed rokiem 1864, drugi—ustawom wyjątkowym, ograniczającym prawa polaków, żydów i cudzoziemców, trzeci ustawom, mającym na celu wzmocnienie żywiołu rosyjskiego w prowincjach wspomnianych, i czwarty — wpływowi ustaw wyjątkowych na stosunki agrarne, oraz na praktykę sądową. Potem następują wnioski ogólne, w końcu zaś broszury przedruk artykułu autora o ustawie z 10 grudnia 1865 r., zamieszczonego przed laty kilkunastu w „Sud. Gaz.". Interes aktualny mają rozdziały drugi i trzeci, oraz wnioski ostateczne. Wprawdzie podział ustaw wyjątkowych na ograniczające jednych i popierające drugich wywołał liczne powtórzenia, ale ta wada redakcyjna nie zaszkodziła umiejętnemu streszczeniu przepisów wyjątkowych, wydanych dla prowincyj zachodnich od roku 1864.

Pierwszym krokiem na tej drodze był okólnik ministra rolnictwa z 25 lutego 1864 r., zakazujący wydzierżawiania ferm rządowych osobom pochodzenia polskiego. Ustawa z 5 marca 1864 roku nie dopuszcza polaków i żydów do nabywania z licytacji dóbr, sprzedawanych w celu utworzenia funduszu kolonizacyjnego, z którego miano udzielać pożyczek przy nabywaniu majątków w gub. zachodnich wszystkim poddanym państwa, nie-polskiego pochodzenia, z wyjątkiem żydów. Dalej z inicjatywy jen.-gubernatora kijowskiego i na podstawie zdania, wyrażonego przez komitet zachodni, powstała ustawa 10 lipca 1864 r., zakazująca żydom nabywania w gub. zachodnich gruntów tak od właścicieli większych, jak od włościan. W r. 1865 w d. 28 marca uzyskała sankcję Najwyższą ustawa, rozkazująca cudzoziemcom, oraz ich żonom, posiadającym w państwie dobra ziemskie, zakończyć niezwłocznie proces uwłaszczenia włościan i nie przedłużać stosunku ich czasowej zależności od dworu. Instrukcja 25 lipca tegoż roku, co do sprzedaży dóbr rządowych, zakazała nabywcom aljenowania gruntów w ręce polskie lub żydowskie. Dobra te przechodzić na polaków i żydów nie mogły nawet w drodze dziedziczenia.

Zwołana w r. 1865 komisja do rozpatrzenia projektów jenerał-gubernatorskich, co do wprowadzenia (*wodworenja*) żywiołu rosyjskiego do prow. zachodnich, przyszła (jak to głosi propozycja za Nr. 19,911 min. sprawiedliwości do Senatu) do wniosku, że „w dziewięciu guberniach zachodnich wśród 10-miljonowej ludności, przeważnie małoruskiej, białoruskiej i w części litewsko-żmudzkiej, istnieje stosunkowo nieliczna ludność pochodzenia polskiego, że ludność ta, składająca się przeważnie z dziedziców i mieszczan, nadaje krajowi charakter polski i przeszkadza reszcie wcale niepolskiej ludności rozwijać się prawidłowo i korzystać na równi z innymi poddanymi z wielu podjętych przez Najjaśniejszego Pana reform, i że siła tego stanu rzeczy polega na korporacyjnej łączności właścicieli ziemskich, nie pozwalającej przenikać do ich grona żadnej narodowości, a najbardziej rosyjskiej. Wobec tych okoliczności, rząd, zdaniem komisji, winien uciec się do środka, który przez pozbawienie osób pochodzenia polskiego prawa nabywania nadal majątków ziemskich w gub. zachodnich, bez uszczuplenia praw posiadania dzisiejszych dziedziców polskich, usunąłby ostatecznie możliwość wzmocnienia się tej klasy". Po rozpatrzeniu tych wniosków komisji wydaną została ustawa d. 10 grudnia 1865 r., głosząca: „nadal do czasu ostatecznego urządzenia Kraju zachodniego, przez wzmocnienie tam dostateczne ilości rosyjskich właścicieli ziemskich, zakazać osobom pochodzenia polskiego nabywać nanowo majątki ziemskie w 9 guberniach zachodnich. i od czasu ogłoszenia tego rozporządzenia uważać za niebyłe wszystkie zawarte potem akty i umowy na przejście wskazanych majątków do osób pochodzenia polskiego wszelką drogą, oprócz dziedziczenia ustawowego". Jednocześnie Najwyżej rozkazano właścicielom dóbr ziemskich sekwestrowanych sprzedać je w ciągu trzech lat osobom pochodzenia rosyjskiego, tak prawosławnym, jak protestantom. Wkrótce potem, z powodu zaszłych wątpliwości co do tego, kogo rozumieć należy pod nazwami: „osoby pochodzenia rosyjskiego", i „pochodzenia polskiego", wyjaśnionem zostało, że ewangelicy, pochodzący z gub. nadbaltyckich, podpadają pod pierwszą z tych kategoryj, jakoteż prawosławni i protestanci, żonaci z polkami. Uznano dalej, że ograniczeniom ustawy z 10 grudnia 1865 r. nie podlega szlachta pochodzenia tatarskiego na Litwie. W r. 1873 zwolniono kolonistów czeskich od płacenia podatku aljenacyjnego przy nabywaniu majątków polskich.

W dniu 14 lipca 1868 r. uzyskała potwierdzenie Najwyższe uchwała Komitetu ministrów, stanowiąca, że ograniczenia 10 grudnia 1865 r. dotyczą tylko dziedziców, nie zaś włościan. Wszakże w r. 1885, okólnikiem z dnia 23 lutego Nr. 6, jenerał-gubernator wileński zezwolił gubernatorom wydawać włościanom-katolikom upoważnienia do nabywania gruntów, nie przewyższających 60 dz. obszaru. Senat natomiast, wyrokiem cyw. dep. kasacyjnego 1898 r. w sprawie Radziukiewicza, wyjaśnił, że miejscowi włościanie-katolicy mają prawo nabywać w guberniach zachodnich nieograniczone obszary gruntowe.

Wkrótce po ogłoszeniu ustawy d. 10 grudnia 1865 r. wyjęto z pod jej mocy kilka osób, mających pewne zasługi wobec państwa. Do liczby tych osób należeli: jen.-adjutant hr. Rzewuski, jenerał jazdy Montrezor, pułk. Ant. ks. Lubomirski, r. t. Domejko, pułk. August Poniatowski, ks. Ogińska, r. t. Stanisław Kierbedź z rodziną i inni.

W r. 1869 księżna Janina Ogińska uzyskała zezwolenie Najwyższe na przekazanie majątków testamantem swej krewnej pani Glińskiej, i rozkaz Najwyższy opiewał, że w przyszłości podania osób pochodzenia polskiego o prawo przekazania majątków testamentami mają być przedstawiane przez ministra sprawiedliwości na potwierdzenie Najwyższe. W r. 1872 ogłoszono dla wskazówki instytucjom sądowym zatwierdzone Najwyżej zdanie Rady państwa z dnia 27 marca, unieważniające testament jenerała Abramowicza, spisany przed 1865 rokiem, wobec tego, że testator umarł po tym roku. Zdanie późniejsze Rady państwa, Najwyżej zatwierdzone 17 maja 1877 r., orzeka, iż osoby pochodzenia polskiego mogą przekazywać za życia swój majątek ziemski spadkobiercom, ale tylko w zakresie ich praw do spadku (sprawa Wojniłłowicza).

W r. 1882 dep. cyw. kasacyjny wyjaśnił w wyroku Nr. 13, że osoby pochodzenia polskiego w gub. zachodnich mogą udzielać pożyczek na zastaw majątków, ale nie mogą z tytułu zastawu obejmować ich w posiadanie. Co do dóbr, nabytych na podstawie przywilejów 5 marca 1864 i 23 lipca 1865 roku, te nie mogą być w żadnym razie oddawane w zastaw polakom.

Wszystkie przepisy, rozporządzenia i wyjaśnienia powyższe trwały niezmiennie do końca roku 1885, kiedy wydano Najwyżej zatwierdzone w d. 27 grudnia r. 1884 przepisy co do nabywania, zastawu i dzierżawienia majątków ziemskich w dziewięciu guberniach zachodnich, po za obrębem miast i miasteczek. Przepisy te zakazały osobom pochodzenia polskiego i żydom przyjmowania w zastaw wspomnianych majątków i ich części. Akty zastawu, sporządzone przed wydaniem przepisów, zachowują moc obowiązującą aż do upłynięcia wskazanego w nich terminu, ale w żadnym razie nie dłużej nad lat 10, poczem stają się zwyczajnemi zobowiązaniami pożyczkowemi. Co do dzierżawienia dóbr przez wskazane osoby, przepisy grudniowe z r. 1884 zakazują zawierania umów dzierżawnych na czas dłuższy, niż lat 12, i pozwalają na dzierżawy najwyżej trzydziestoletnie tylko w wypadkach, gdy dzierżawca ma zamiar zbudować zakład fabryczny, który powinien być urządzony w ciągu pierwszego dwunastolecia dzierżawy. Towarzystwa akcyjne mają prawo nabywać po za obrębem miast i miasteczek obszar nie przenoszący 200 dziesięcin. W dalszym ciągu przepisy 27 grudnia ustanawiają, że nabywcy majątków rosjanie, którzy skorzystali z przywilejów 5 mar-

ca 1864 r., winni w ciągu roku zerwać wszystkie umowy, wbrew tym przywilejom zawarte, zaś majątki, nabyte na podstawie przywilejów instrukcji 23 czerwca 1865 r., sprzedane, zastawione lub wydzierżawione wbrew tej instrukcji, przechodzą do skarbu państwa przy wszczętej o to akcji ministerstwa dóbr państwa. Każda ze stron uczestniczących w umowie, zawartej wbrew rozkazom Najwyższym z 10 czerwca 1864 roku i z 10 grudnia 1865 r., a także gubernatorowie miejscowi mają prawo wszczynać w sądach akcje o unieważnienie tych umów. Przy wydaniu przepisów 27 grudnia 1884 r. zniesiono wszystkie upoważnienia do nabywania dóbr ziemskich w prowincjach zachodnich.

W r. 1891 w d. 2 lutego uzyskała potwierdzenie Najwyższe uchwala Komitetu ministrów, zakazująca przekazywać majątki w posiadanie dożywotnie osobom pochodzenia polskiego. Przedtem jeszcze (21 grudnia 1887 r.) usunięto z kompetencji sądów polubownych sprawy o nieruchomości, jeżeli w liczbie uczestników tej sprawy są osoby, których prawa co do własności ziemskiej ograniczyła ustawa wyjątkowa. Osoby pochodzenia polskiego nie mają prawa korzystania z kredytu, udzielanego przez Bank szlachecki. Prawo nabywania majątków ziemskich w prowincjach zachodnich przysługuje tylko osobom, które uzyskały na to pozwolenie jen.-gubernatora miejscowego. Senat wyjaśnił (wyr. dep. kas. cyw. 1890 r. Nr. 111 i 1895 Nr. 39), że te pozwolenia, udzielone przez wyższą władzę miejscową, mają znaczenie ogólne nie zaś dotyczą tylko jednego majątku wskazanego, jak to sądziła administracja miejscowa.

Ograniczeniom w zakresie praw własności ziemskiej ulegają w prowincjach zachodnich także cudzoziemcy, na zasadzie ukazów Najwyższych z d. 14 marca 1887 r., 14 marca 1892 r. i 19 marca 1895 roku.

Co do środków popierania i rozszerzenia rosyjskiej własności ziemskiej w prowincjach wspomnianych, zaznaczyć wypada przepisy, dotyczące utworzenia funduszu kolonizacyjnego, o którym mówi już ustawa 5 marca 1864 r. Wobec trudności napotkanych, zdecydowano się przelać funkcje udzielania pożyczek na nabywanie dóbr ziemskich w guberniach zachodnich Towarzystwu nabywców, którego statut został zatwierdzony 10 sierpnia 1866 r. Towarzystwo istniało bardzo krótko i zostało rozkazem Najwyższym 9 czerwca 1867 r. rozwiązane, środki zaś materjalne, udzielone mu przez rząd, przelane zostały do Tow. wzajemnego kredytu ziemskiego, które w roku 1890 poddano pod zarząd Banku państwowego szlacheckiego.

Nadmieniwszy o tem, że ustawy wyjątkowe w prowincjach zachodnich obniżają wartość ziemi i wywołują objawy ujemne w ruchu własności ziemskiej, tak przez ograniczenie popytu, jak przez umożliwienie łatwej spekulacji, autor rozpatruje dość szczegółowo praktykę Senatu co do tłómaczenia ustaw z 10 grudnia 1865 r. i z 27 grudnia 1884 roku. Z pewnem zdziwieniem zauważyliśmy, że nie wspomniał ani o wyroku departamentu kasacyjnego w sprawie Hermanów (1890 r. Nr. 124), w którym Senat orzekł, że powództwa administracji o unieważnienie umów, zawartych wbrew ustawom wyjątkowym, ulegają przedawnieniu; ani o wyroku w sprawie Górskich (1889 r. Nr. 33), w którym Senat uznał, że działy majątkowe sukcesorów, według ich uznania, nie sprzeciwiają się ustawie z d. 10 grudnia 1865 r. Są to dwa wyroki zasadnicze i na nie powoływał się Senat w sprawach późniejszych, w których prowadzeniu brał udział autor, co kilkakrotnie w broszurze swej zaznaczył.

Przechodząc do wniosków, przewiduje autor, że trudno spodziewać się dalszego wyzbywania się własności ziemskiej przez osoby pochodzenia polskiego, ponieważ na roli pozostał żywioł najbardziej gospodarny i ekonomicznie odporny. Z innej znów strony nie może już być mowy o tej „korporacyjnej łączności“ obywateli ziemskich polskich, o której wspominają motywy do ustawy z d. 10 grudnia 1865 r. Około 50 proc. większej własności ziemskiej należy już do rosjan. Ekonomiczne skutki ustaw wyjątkowych są ujemne, imigracja z gub. wschodnich jest niemożliwą, ponieważ ruch naturalny ludności ma właśnie kierunek odwrotny, wreszcie ustawy wyjątkowe wpływają szkodliwie na moralność osób, uczestniczących materjalnie w ruchu własności ziemskiej.

Zaznaczając, że ludność kresowa jest przeświadczoną o konieczności i korzystności wspólnego z ośrodkiem państwa pożycia politycznego, p. O. powołuje się na wiersz Puszkina o Mickiewiczu i na Szewczenkę, i wreszcie sądzi, że zbliża się chwila, w której ustawy wyjątkowe przejdą do przeszłości.

Taką jest treść książki, w której autor przedstawił po raz pierwszy i w sposób niemal wyczerpujący dzieje ustaw wyjątkowych agrarnych, ograniczających prawa cywilne pewnych kategoryj ludności. Całokształt biegu ustawodawstwa wyjątkowego złożył się na obraz historyczny, obfity w szczegóły ciekawe, ponieważ autor wyzyskał nietylko materjał znajdujący się w „Zupełnym zbiorze ustaw“, ale skorzystał także z innych wydawnictw urzędowych.

P. N.

JEREMJASZ CURTIN.

Z ROZMÓW I WRAŻEŃ.

Korzystając z pobytu w Warszawie czasu uroczystości mickiewiczowskiej głośnego tłómacza dzieł Sienkiewicza na język angielski, pozwoliłem sobie, w imieniu „Kraju“, inkomodować go kilku zapytaniami, na które p. Curtin następujące udzielił mi odpowiedzi.

— Urodziłem się w Milwaukee, w stanie Wisconsin Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, w r. 1838. W r. 1863 skończyłem uniwersytet w Cambridge. Mówiąc nawiasem, jest to najstarszy amerykański uniwersytet, założony jeszcze w r. 1636 przez Harvarda. Powołano mię w rok potem na stanowisko sekretarza legacji amerykańskiej do Petersburga.

— W ten sposób zetknął się pan ze słowianami?

— O nie; przed wyjazdem jeszcze do Petersburga zacząłem gorliwie uczyć się rosyjskiego języka, a nawet osobiście zetknąłem się z rosjanami. W r. 1864 statki rosyjskie, nie pamiętam już, trzy czy cztery, stały na kotwicy w porcie nowoyorskim. Zapoznałem się z oficerami marynarki i jąłem zaprawiać się we władaniu językiem rosyjskim w rozmowie potocznej. Zaś w Petersburgu wziąłem się do języka polskiego. Przyszło mi zapoznanie się z nim względnie bez wielkich trudności. Przeczytałem nietylko waszych wielkich podróżników, ale i waszych wielkich poetów. Po nitce do kłębka poznałem wszystkie języki słowiańskie: dziś, oprócz rosyjskiego i polskiego, znam języki czeski, serbski i bułgarski.

Podróżowałem wiele—mówił dalej p. Curtin—między rokiem 1870 a 1880. Zwiedziłem niemal Rosję całą, Kaukaz, Turcję, Grecję i Azję mniejszą, a i po Ameryce częste a dalekie odbywałem podróże. Może panu wiadomo, że zajmuję się specjalnie badaniem plemion tubylczych (aborygenów) Ameryki północnej. Należę do instytucji naukowej, specjalnie w tym celu utworzonej; zwłaszcza obchodzą mię indjanie, owi ginący, a tak ciekawi indjanie, znani wam jedynie z powieści Mayne-Reide'a lub Coopera. Napisałem kilka prac z zakresu etnografji indyjskiej, zebrałem materjały do gramatyki narzecza indyjskiego. Pisałem też nieco o Irlandji. Są moje „Bajki i przypowieści ludowe irlandzkie“ (1884), oraz wydawane przezemnie „Powieści bohaterskie irlandzkie“. Co zaś do przekładów, tłómaczyłem coś niecoś z rosyjskiego, np. świetną powieść Tołstoja: „Książę srebrny“; Sienkiewicza w moim przekładzie wyszły: Trylogja, „Rodzina Połanieckich“, „Quo vadis“ i tom utworów pomniejszych, drukowany w roku ubiegłym.

— Czy istotnie Sienkiewicz jest tak popularnym w Ameryce, jak o tem piszą u nas?

— Niezmiernie jest popularnym. Można śmiało twierdzić, że ta lub owa powieść jego znajduje się w każdym domu amerykańskim. Ale najbardziej czytanem jest stanowczo „Quo vadis“.



Jeremjasz Curtin.

— Pan—rzekłem—który zna, można powiedzieć, wszystkie szczepy europejskie i patrzy na nie z bezstronnego stanowiska... pozaatlantyckiego, co pan mówi o przyszłości tych szczepów? co mówią rodacy pańscy?

— Długoby się rozwodzić w tej materji. To jedno wydaje się nam być pewnem, że ludy szczepu romańskiego upadają i upadną rychlej, niż inne; germańskie utrzymają się znacznie dłużej na stopie kulturalnej, na której dziś stoją, ale rozwoju ich już nie przewidujemy. Pójdzie dalej i rozwijać się będzie rasa anglo-saska. Ale najświetniejszą przyszłość przed sobą mają ludy słowiańskie; patrzeć tylko, jak przodować one zaczną całej Europie... Nie wiem, może się mylę, ale jest to pogląd w chwili obecnej najbardziej rozpowszechniony w Ameryce.

W. K.

Warszawa

ZMIANA PREZYDENTA.

(Listy korespondentów „Kraju“).

FELJETON PARYZKI.

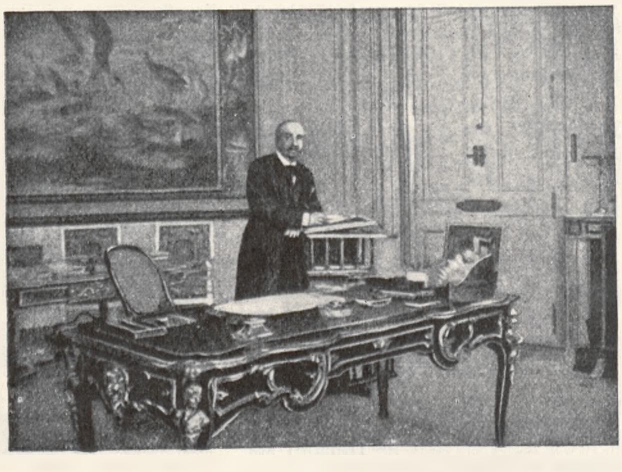
Paryż, 21 lutego.

[Pierwsze moje spotkanie z ś. p. Feliksem Faure. Wybór pana *Loubette*. Powrót z Wersalu. Groźby wiszące w powietrzu. Prognostyki. Rozmowa z krewnym księcia Wiktora. Szukamy człowieka]

Lat temu dziesiątek w nadmorskiej kąpielowej miejscowości, dokąd sierpniowe upały zapędziły mnie na pokutę, siedziałem na piasku, wpatrzony w siną przestrzeń, gdy panująca dokoła cisza przerwaną została ukazaniem się na tarasie sąsiedniej kawiarni trzech panów, prowadzących ożywioną rozmowę i rozstawiających z trzaskiem krzesła. Jeden z nich, mężczyzna lat pięćdziesięciu, zwrócił moją uwagę dorodną postawą, zamaszystemi ruchami i donośniejszym od innych głosem. Ubrany był wykwintnie, trochę jaskrawo i pretensjonalnie. Zauważyłem, że nieco nerwowym ruchem wkładał co chwila na nos, dosyć okazały, i zdejmował pospolite binokle. Owczesny poseł, a późniejszy prezydent Rzeczypospolitej zmienił się dużo od owej pory. I na lepsze. Nabrał elegancji, umiarkował głos i ruchy, bodajże wyprzystojniał nawet, i binokle zastąpił monoklem, co, gdy wkładał szkiełko w prawe oko, nadawało wyraz nieco ostry jego łagodnej zkądinąd twarzy, bo się marszczył mimowolnie, aby utrzymać szkiełko na niestworzonem dla niego miejscu.



Pałac Elizejski. Główna brama.



Prezydent Faure w swoim gabinecie w pałacu Elizejskim.

Na godzinę przed śmiercią nieboszczyk odezwał się do swojego kamerdynera słowami, które znamionują doskonale jego moralną fizjognomję z ostatnich czasów:

— Widzisz, mój drogi, jak marną rzeczą jest człowiek, nawet kiedy jest prezydentem Rzeczypospolitej. Byłby tak samo powiedział: «nawet kiedy jest panem świata». Pojęcie o swojej wielkości miał ogromne, i cieszył się niem, pieścił się z niem, używał go aż do ostatniej chwili. Gdyby mu panna Couesdon była przepowiedziała, że na zajmowanem stanowisku zastąpi go p. Loubet, przekonany jestem, że tę przepowiednię byłby poczytał za osobistą obrazę. Jakiś drugi Napoleon czy Ludwik XIV wydawał mu się jedynym godnym następcą.

Nie śniło mu się zresztą o żadnym spadkobiercy. Wiarę w śmiertelność wszystkich l u d z i przyjmował z poprawką Ludwikowego kaznodziei: «*Nous sommes presque tous mortels*»... Raczej zaś wierzył w swoje szczęście i w to, że podczas przyszłej wystawy ugaszczać będzie monarchów całego świata. Od czegoż byłaby wystawa? I byłby się p o k a z a ł wyśmienitym gospodarzem odrestaurowanego przez się domu.

Żaden z jego poprzedników nie oddał zagranicą panującemu porządkowi rzeczy tak wielkich usług.

Trzecia Rzeczpospolita jest Molochem. Konstytucja 1875 roku nie przewidziała ani tak szybkich zmian w naczelnej magistraturze kraju, ani tego, że za każdym razem zmiana naczelnika dokonywać się będzie w ciągu 48 godzin. Mechanizm konstytucyjny wykazał, przy narzuconych sobie w ten sposób próbach, niepospolitą składność i sprężystość, ale został, bądź co bądź, zwichnięty, wpędzony w kolej powtarzających się niespodzianek. Nazajutrz jeszcze po nagłym zgonie prezydenta, z wszystkich możliwych kandydatów *Loubette*, jak go dziś nazywają, przedrzeźniając zachowany południowy akcent, *le père Loubet*, jak go nazywaliśmy do tej pory, zdawał się najmniej prawdopodobnym. Pamiętam, że bawiącemu obecnie w Paryżu redaktorowi «Kraju», który przyszedł do mnie rano zasięgnąć języka, powiedziałem: «Gdyby o zakład chodziło, stawiłbym na Méline'a». Wieczorem telegrafowałem mu do hotelu: «Byłbym przegrał; Loubet bierze». Narzędziem niespodzianki stał się tym razem p. Clémenceau, pisząc w «Aurore»: «Otóż wstaje słońce Méline'a i Freycinet'a... Głosuję za Loubet'em». Frazes był jawnie ironicznym, oznaczał: «wolałbym jeszcze tego safandułę, który nie jest i nie będzie nigdy moim przyjacielem politycznym i który nie należy zapewne także do obrońców Dreyfusowej niewinności, skoro zatrzymuje przy swoim boku, na stanowisku naczelnego sekretarza (25 tys. fr. i mieszkanie), pana Sorel, znakomitego historyka, który podpisał manifest *patrjotycznej* ligi.

Ale w senacie zakotłowało się. Dreyfus miał tam zdawna sporo mniej więcej jawnych obrońców, a Dupuy, Méline i Freycinet tyluż nieprzyjaciół, zwłaszcza od czasu przeprowadzonego w Izbie niższej prawa przeciwko Izbie kryminalnej. Wezwano do rady pana Bourgeois— widomego naczelnika tej przygodnej koalicji radykałów socjalistów i oportunistów *vel* postępowców, nawróconych do dreyfusizmu, która to koalicja uzbierała dwieście głosów w Izbie niższej przeciwko rzeczonemu prawu.

— Czy naprawdę głosowalibyście za Loubetem?

P. Bourgeois popędził do pałacu burbońskiego i wrócił rozpromieniony.

— *Ça va!*



Pokój sypialny prezydenta Faura w pałacu Elizejskim.

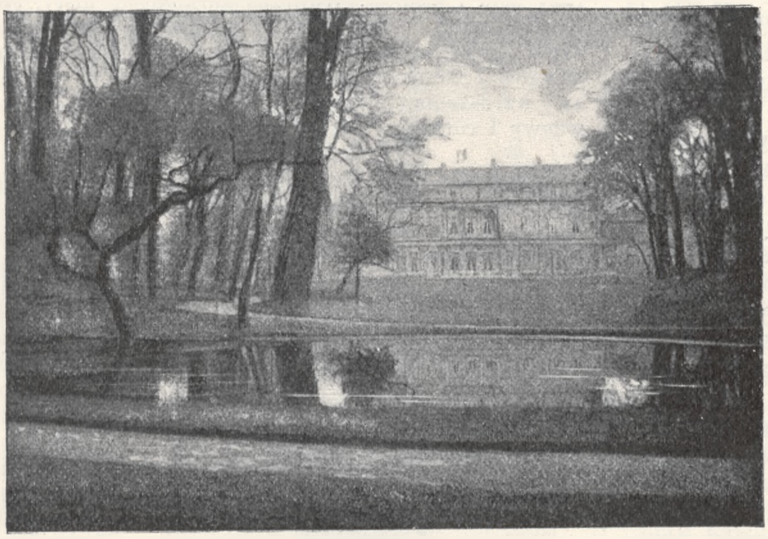
Jakoż i poszło—jak po drucie telegraficznym. Przypomniała mi się elekcja naszego Wiśniowieckiego.

Ale za to powrót z Wersalu! Na dworcu Saint-Lazare spotykałem się kilka razy z przejazdami ś. p. Faure'a, który lubił się ruszać, a zawsze z trzaskiem. Otóż jestem świadkiem, że ustanowiony *ad hoc* porządek zmieniony został tym razem w ten sposób, że we wnętrzu dworca, zamiast jakich pięćdziesięciu kroków, oddzielających zwykle prezydenta od tłumu, było ich zaledwie pięć! A gorzej jeszcze na schodach. Schody są podwójne, zbiegające się u dołu. Jedną połowę zostawiono dla nowego prezydenta, ale na drugą wpuszczono manifestantów, którzy, przechylając się z wyższych stopni przez szpaler policjantów, w twarz prawie pluli wybrańcowi kongresu:

— *Panama! Démission!*

Dupuy *fecit!* «Trzech już uprzątnął, uprzątnie i czwartego» — był wieczorem głos ogólny. Na bulwarach tego dnia i dni następnych policja zdawała się wszędzie wchodzić w kompromis z manifestantami. Aresztowała tych, którzy szyby tłukli, albo sierżantów policyjnych przez pomyłkę; ale krzyczących: « *Conspuez Loubet!* », zostawiała w spokoju. A co będzie w dzień pogrzebu zmarłego prezydenta? Od wielu posłów słyszałem, że p. Loubet zostanie w domu; ale to prawie niepodobieństwo. Nie zostanie natomiast w domu stary jenerał R.. który swojego czasu brał udział w zamachu 2 grudnia, a teraz oświadczył mi, że pójdzie na pogrzeb—ze świstawką dużego kalibru i parą zgniłych jabłek w kieszeni! Mniejsza zresztą o pogrzeb. Manifestacja, jeżeli przyjdzie do skutku, będzie w danej okoliczności tak ohydną, że może rozbudzi wrodzony tutejszemu ludowi zmysł przyzwoitości i taktu, i wywoła reakcję. Manifestantów jest mało: kilkunastu warchołów w rodzaju jenerała R., drugie tyle arystokratycznych młokosów i dwie, czy trzy setki najętych szubrawców. Ale nad ich lichemi głowami wisi niezaprzeczenie w powietrzu przygodny szał ludowych sympatyj i antypatyj. I w tem tkwi niebezpieczeństwo chwili.

Czego właściwie chce się temu ludowi, któremu nie chce się Loubeta? *Démission! Démission!* Nikt nie wie, i on sam nie wie. Gdyby go wziąć za słowo, wypadałoby utworzyć następujący skład rządu: Prezydent Rzeczypospolitej—Déroulède; prezes rady ministrów i minister spraw wewnętrznych—Jules Lemaitre; minister spraw zagranicznych—Rochefort; minister oświaty



Ogród Elizejski z widokiem na pałac.

i wyznań—Coppée. Ale nikt nie ma ochoty wziąć go za słowo, a w dodatku, wbrew rozpuszczonym pogłoskom, teraźniejszy prezydent Rzeczypospolitej nie ma ochoty także ustąpić miejsca ani Déroulède'owi, ani komu innemu. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ten niepozorny człeczyna zadziwił większość swoich rodaków.

Nie wierzę zgoła w brak ambicji, przypisywany dzisiejszemu naczelnikowi kraju, wraz z upodobaniem do prostoty domowego skromnego bytu. Starożytny, arystokratyczny zamek, nabyty niedawno przez byłego montelimarskiego adwokata dla swojego zięcia, pana de Saint-Prix, zdaje mi się świadczyć przeciwko temu założeniu. Chodzi o to tylko, czy energja odpowie ambicji. Może i nie. A wtedy co? Déroulède'a nie wprowadzimy do pałacu Elizejskiego. Więc kogo? S ł y s z ę ciągle: «Ach! gdyby jenerał Boulanger nie był się zastrzelił!» Zgoda. To, co wisi obecnie w powietrzu, nie jest właśnie co innego, jak zmora bulanżyzmu, pokutująca między nami. Ale ze zmory nie można zrobić żywego człowieka.

Człowieka brakuje. Człowieka trzebaby temu ludowi. Senatorowie znaleźli tylko formułę, którą p. Bourgeois przekręcił po swojemu. Ztąd gniew. Więc może do innej formuły trafimy? Słyszę także o zamachu stanu. Książę Orleański odwiedził niedawno San-Remo. Z San-Remo do Fréjus, gdzie Napoleon I wylądował swojego czasu—niedaleko.

Zamiast wylądowania, doczekaliśmy się tylko manifestu, który śród żałoby ogólnej wywołał nieco wesołości. Więc może ks. Wiktor? Telegraficzne agencje angielskie dziwy opowiadają o planach, układanych w Brukseli, o rotszyldowskich miljonach, ofiarowanych pretendentowi. Baron Légoux, prezes głównego bonapartystycznego komitetu, oznajmił reporterom, że jeżeli brukselski pretendent nie ogłosił ze swojej strony manifestu, to dlatego, że jeszcze nie pora. «Kiedy zobaczycie manifest, książę nie będzie daleko!» Więc zamach stanu w pogotowiu. Ale ja z dobrego i bodaj że najlepszego źródła wiem co innego o tym drugim manifeście i o rotszyldowskich miljonach. Manifest był napisany i miał być nalepiony w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy na murach Paryża — ale zabrakło funduszów. Rotszyldowie, w niewiadomym mi celu, ofiarowywali temi czasy od 15 do 20 miljonów, ale żądając gwarancji zamożnych członków stronnictwa, jak książę de Rivoli, lub książę Roland, to jest nie dając właściwie nic. Nakoniec z ust jednego z blizkich krewnych księcia Wiktora słyszałem temi dniami co następuje:

— Dla dokonania zamachu stanu na czyjąśkolwiek korzyść, trzebaby



Sala posiedzeń ministrów w pałacu Elizejskim.

mieć armję paryzką w rękach. A kto ją ma? Jenerał Zurlinden? Jenerał Zurlinden wie dobrze, że przy dzisiejszym składzie siły zbrojnej niemasz jednego pułku, w którymby liczyć można na wszystkich oficerów. Cóż dopiero na żołnierzy! Trzebaby także mieć opinję. A kto ją ma? Nie nasze stronnictwo przecie. Nasze stronnictwo, to garstka ludzi. Sięgając do gruntu, przekonasz się, że opinja kraju jest na wskroś republikańską, nawet w wyższych sferach. Zgodziłaby się nawet na dyktatora, ale zawsze pod republikańską etykietą. Monarchy jej nie trzeba. Odwykła od niego i zawadzałby jej.

I ja tak mniemam. Ogółowi tutejszemu niepodoba się dzisiejsza Rzeczpospolita, z panem Loubet na czele, dlatego, że przyrodzony antropomorfizm tego ogółu wymaga koniecznie wcielenia każdego *czegoś* w *kogoś*, a niepozorny p. Loubet nie wystarcza mu do tej inkarnacji. Ale kto wie, czy pan Loubet nie zmieni rozpowszechnionego pojęcia o swoich przymiotach. *Szyku* nie nabędzie; ale jeżeli *szyk* potrafi zastąpić *energją*, spojrzenie z po za monokla—kułakiem, ludek paryzki zadowolni się kułakiem. Jeżeli nie, będzie szukał człowieka, aż go znajdzie, w Brukseli czy gdzieindziej.

Nemo.

Z WRAŻEŃ NAOCZNEGO ŚWIADKA.

Paryż, 28 lutego.

Od Avenue de Marigny bramy do ogrodów Elizejskich otwarte, i szeroką aleją, wśród drzew odartych z liści, trawników pożółkłych i marmurowych figur, zbrukanych zimową słotą, ciągnie długi korowód kobiet, mężczyzn i dzieci. U drzwi pałacowych cieplarni, kamerdynerzy w czarnych strojach i srebrnych łańcuchach formują szeregi. Cicho, bez słowa, toczy się ciemna fala po woskowanych posadzkach. Mury i sufity okryte kirem, gęsto rozsiane inicjały R. F. zwiastują żałobę Rzeczypospolitej. Idę wraz z innymi i oto dostaję się do obszernej sali, zamienionej w pogrzebową kaplicę. Z pośród zieleni krzewów i żywych barw kwiatów, błyskają posępne światła gromnic. Czarne draperje, obramowane srebrnemi wstęgami, okrywają katafalk, strzeżony przez honorową gwardję, na którą składają się kolejno oficerowie i szeregowcy różnych pułków. Stoją przy trumnie nieruchomi, skamienieli...

W ciągu trzech dni przeszło 300 tys. osób przesunęło się około trumny najwyższego dostojnika Rzeczypospolitej. Wartujący oficerowie i żołnierze zdają się nie widzieć nikogo. Ale około ósmej wieczorem, gdy bramy pałacu zamykają się dla publiczności i w obszernych salach czyni się pustka, z wyższych pięter schodzą dwie kobiety, czarno ubrane. Wolnym krokiem zbliżają się do katafalku, zginają kolana i dają się słyszeć tłumione łkania, urywane wyrazy bólu i modłów. Wówczas karabiny nieruchomych wartowników mimowoli drgają, pochylają się ku ziemi, z piersi oficerów i żołnierzy wydzierają się głosy wzruszenia, łącząc się z płaczem wdowy i córki...

* * *

Przez plac de la Concorde wracam ku domowi. Na bulwarze Saint-Germain mnóstwo policji, chodniki szczelnie zapełnione tłumem.



Emil Loubet.

— Nowy prezydent, p. Loubet, będzie za chwilę przejeżdżał!

I niezadługo słyszę okrzyki niezbyt głośne: „*Vive Loubet! Vive la Republique!*“ Otwarty piękny powóz, zaprzężony w dwa tęgie kłusaki, mija szybko. Siedzi w nim niemłody mężczyzna, o twarzy spokojnej i poważnej, okolonej siwą brodą. Niema wyglądu bohatera lub monarchy: czyni wrażenie człowieka zacnego i rozumnego. *Il n'est pas mal, notre président!*—słyszę dokoła.

Pierwszy gniew paryżan, który w dniu wyboru objawił się tak przykremi manifestacjami, przeminął. Teraz prezydent otoczony już jest aureolą swego stanowiska. Zresztą ten tłum bezwiednie odczuwa dumę, że oto syn zwykłego kolonisty, średnio-zamożnego właściciela fermy, zdolnościami i pracą wyniósł się na najwyższe stanowisko.

— Jego matka dotychczas chodzi w czepcu wieśniaczki, a szwagier ma sklep z żelaztwem — mówi ktoś w tłumie.

— *Vive Loubet! Vive la Republique!*

W tej chwili obok rozlega się przeraźliwy gwizd i w ślad za nim okrzyk:

— *A bas Loubet! Demission!*

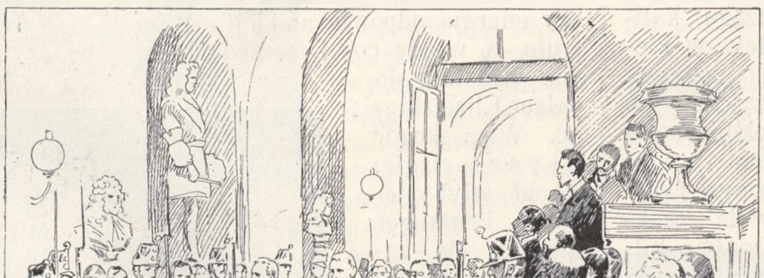
Dwóch policjantów rzuca się w stronę manifestanta, chwytają go za ramiona, odciągają precz. Nazbyt gorący stronnik p. Derouled'a i nacjonalistów będzie miał czas ochłonąć ze swego zapału w samotności...

* * *

Przepiękny ranek. Złote promienie słońca rozwiały błękitną mgłę, powietrze miłe, jędrne. Nie jest to jeszcze prawdziwa wiosna, kwiecista, pachnąca; czuć ją atoli niedaleko. Plac de la Concorde, ten najpiękniejszy plac miejski na świecie, przedstawia się, jak jedno ciemne mrowisko. Jak ów poczciwy obywatel, co zobaczywszy po raz pierwszy ocean, wołał z podziwieniem: — Ileż wody! Ileż wody!—tak i mnie mimowoli nasuwają się na usta słowa: — Co tu ludzi! Na wszystkich pomnikach, fontannach i latarniach zaimprowizowani gimnastycy umieścili się w najbardziej ryzykownych pozycjach. Zaś od strony pól Elizejskich, na każdem drzewie siedzi kilkunastu młodych obywateli; gałęzie starych kasztanów gną się niecierpliwie. Trach! zdaleka trzask suchy się odzywa, w ślad potem krzyk i śmiech. Jedna gałąź ułamała się i paru urwisów spadło—nie na ziemię, lecz na ramiona cisnących się pod drzewem osób.

A wśród tego olbrzymiego rojowiska, ruchliwego, szumiącego głuchym gwarem rozmów i szeptów, różowa w świetle słonecznem Igła Kleopatry strzela dumnie ku niebu, czysta, wyniosła. Zdaje się królować nad tym wielotysięcznym tłumem, wysoka piękna pani, kamiennie obojętna na przelotne sprawy ludzkie, ona, co tyle wieków pamięta, tyle wielkich radości i smutków wielkich...

Z Mont-Valerien huknęły działa. Kirasjerzy i strzelcy konni rozszerzają wśród tłumu długą ulicę, którą ma się przesuwać pogrzebowy korowód. Białoczerwone chorągiewki strzelców furkają raźnie, drażnione lekkim wietrzykiem. Na olbrzymim placu czyni się cisza. Wszystkie twarze zwracają się w stronę pól Elizejskich, zkąd orszak ma się ukazać. Nigdzie



Prezydent Loubet opuszcza, po wyborze, pałac wersalski, obok niego Dupuy, za nim ministrowie Delcassé i Locroy.

nie widać smutku lub żalu; wszędzie — ciekawość i rozbawienie. Tłum cieszy się nadzieją pięknego widowiska. *Le roi est mort—vive le roi!*

Lecz oto w dali błysnęły złociste mundury, rozlegają się dźwięki pogrzebowego marsza. Jeszcze chwila i orszak się zbliża, wszyscy odsłaniają głowy. Na czele jedzie na tęgim rumaku gubernator Paryża, jenerał Zurlinden, otoczony świetnym sztabem. Jego marsowa postać wywołuje wrażenie. Tu i owdzie odzywają się nieśmiałe okrzyki: „*Vive l'armée!*“



Szwadron kirasjerów o błyszczących w słońcu puklerzach i drugi — konnej gwardji republikańskiej, budzi jeszcze większy entuzjazm. Charakterystyczny to rys, jak paryżanie lubią tego rodzaju defilady! Potem idą: muzyka wojskowa, oddział marynarzy i roty wychowańców wyższych szkół wojskowych: Szkoły politechnicznej i Saint-Cyr. Kilka wozów z olbrzymiemi wieńcami, wreszcie sam karawan, wysoki, wspaniały, może zbyt teatralny.

Za nieliczną garstką rodziny, w oddaleniu kilku kroków, idzie czterech panów czarno ubranych, w cylindrach okrytych krepą.

— Który jest Loubet?—pytają wszyscy.

Tłum nie zna jeszcze nowego prezydenta, nie może go odróżnić od innych dostojników. To także jeden z powodów małej dotychczas popularności pana Loubeta...

Teraz, pod przewodnictwem nuncjusza papiezkiego, idą misje dyplomatyczne, ambasadorzy różnych państw w suto szamerowanych mundurach. Najsilniejsze wrażenie wywołują wysłańcy cesarza Wilhelma II, których wysokie postacie, obciśnięte w piękne stroje wojskowe, górują nad tłumem.

— Przysłał olbrzymów, żeby nas upokorzyć — słyszę głosy. Ale nasz mały żołnierz francuzki, zgrabny i żywy, da sobie z nimi radę...

Kilka setek mężczyzn w cywilnych ubraniach postępuje za zagranicznymi gośćmi. Dostojnicy Legji honorowej, senatorowie, deputowani. Potem znów grupa oficerów i członkowie najwyższych instytucyj sądowych. Ich czerwone suknie, obramowane białem futrem, rozdymane ciągle przez wiatr, wyglądają pocieszni. Nie lepsze wrażenie czynią fioletowe togi profesorów, zielone fraki członków Instytutu. Przypominają się niedawne karnawałowe maskarady, słychać tłumiony śmiech...

A potem ciągną nieskończonym szeregiem najróżnorodniejsze deputacje, setki wieńców, mniej lub więcej pięknych. Mija godzina, armaty huczą nieustannie, a końca jeszcze nie widać. Czoło orszaku zbliża się już zapewne do Notre-Dame, przez plac de la Concorde wije się ciągle pochód ogromnym wężem.

Zwolna zmęczenie ogarnia tłum, który poczyna rozpraszać się na wszystkie strony. Teraz miasto wre gwarem i życiem. Ciemne fale ludu pchają się ku bulwarom, tamują ruch powozów, zapełniają kawiarnie i restauracje. Wszyscy są zadowoleni: spektakl udał się wybornie.

Jeśli gdzieś po nad miastem unosi się duch zmarłego prezydenta, musi się czuć szczęśliwym. On, który za życia tak lubił wokół siebie twarze pogodne i uśmiechnięte, nawet ostatniem swem publicznem wystąpieniem — pogrzebem — uczynił Paryżowi przyjemność.

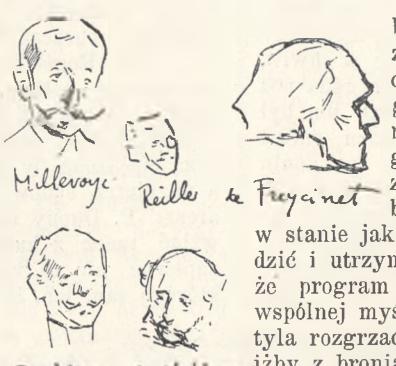
Stef. Krz.

PO POGRZEBIE.

KARYKATURA ZAMACHU STANU.

Ci, co załamywali już ręce nad losem nieszczęśliwej Francji, brnącej w coraz gorszych manowcach, przekonać się mogli, że załamywanie rąk było co najmniej przedwczesnem. Francja lubi fantastów, oryginałów i awanturników, i bawi się nimi, przyklaskując im tem goręcej, im zdrożniejsze wyprawiają koziołki. Ale Francja ma zarazem dość zdrowego „chłopskiego rozumu“, by fantastom i oryginałom zawołać „stój!“, gdy od słów przechodzić chcą do czynów; tym natomiast rozsądku owego cennego nie staje i zamiast zadawalniać się poklaskiem i grać nadal popularną komedję, biorą oklaski na serjo i zachciewa im się odegrać historyczną rolę. Wytrzeźwienie w ślad za tem przychodzi bezpośrednio.

Deroulède i Drumont, uściskawszy się w Wersalu z naczelnikami pałacowej straży, przekonani byli, że całą armję mają za sobą. Fantastyczny ten sojusz, militarno-szowinistyczno-antysemityczny, zapewnił się za pośrednictwem starozakonnego redaktora „Gaulois“, p. Arthura Mayera o sympatjach garstki klerykałów, którym hr. Mun przewodzi. Millevoye przekonany był, że za nim pójdą wszystkie paryzkie przedmieścia, a bar. Reille dał mu do zrozumienia, że „przejednani“ monarchiści przychylnym okiem patrzyć będą na wywrócenie obecnego ustroju, który i chrześcjańsko - socjalnym posłom w rodzaju ks. Lemire nie przypada do smaku. Kogóż jeszcze braku-







je? „Liga ojczyzny francuzkiej“, do której należy sporo członków Akademji, profesorów, literatów, artystów, inżynierów i t. d., oświadczyła przez usta Lemaitre'a i Coppée'go, że zwalczać będzie do upadłego „głupca“ i „panamistę“ Loubeta. „Więc cała Francja za nami stoi! od słów przejdźmy do czynów!“

Panowie ci nie zastanowili się nad tem, że sojusz ich jest związkiem ludzi niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy z najróżnorodniejszych powodów; że jest związkiem kandydatów na spadkobierców po teraźniejszej Rzeczypospolitej, gotowych procesować się między sobą zażarcie, gdyby któryś z nich rękę po spadek wyciągnął; że w całem swojem gronie nie posiadają ani jednego politycznie wyrobionego człowieka, którego nazwisko byłoby dla masy wyborców gwarancją, iż będą w stanie jakikolwiek porządek wprowadzić i utrzymać, a co najważniejsza, że program ich nie zawiera żadnej wspólnej myśli przewodniej, któraby do tyla rozgrzać mogła wyobraźnię tłumów, iżby z bronią w ręku pośpieszyły obalać ustrój państwowy, mający za sobą, bądź co bądź, niezmierną większość wyborców francuzkich.

Najwyraźniej uwydatniło się to w samej lidze „ojczyzny francuzkiej“. Wszak łatwiej bezsprzecznie rządzić kilkunastotysięczną drużyną, która dobrowolnie zapisała się pod czyjeś rozkazy, niż całą Francją, nurtowaną tyloma sprzecznemi prądami. Tryumwirat: Coppée, Lemaitre, Barrès, który wyobrażał sobie, że wciela w sobie całą Francję, tego nawet egzaminu złożyć nie był w stanie i w odpowiedzi na swój manifest przeciwko Loubetowi otrzymał powódź całą listów, zgłaszających... wykreślenie się z szeregów ligi. By rozbicia całkowitego uniknąć, ogłosił nawet formalną kapitulację: oświadczenie, że manifesty jego nie mają zupełnie pretensji być wyrazem przekonań członków ligi. Lemaitre mógłby o zamachu stanu napisać bardzo piękny artykuł, Coppée—uświęcić go

bardzo starannie rymowanym wierszem, ale do tego ograniczyłby się ich udział w zreorganizowaniu Francji. A była to najświetniejsza liga z tej ligi lig, które porwały się na wywołanie przewrotu. I takim losy swe zawierzyć miała Francja? Bezsens jej tak daleko nie sięga i pierwsza próba zamachu stanu, choć karykaturalnie śmieszna, pociągnęła za sobą wzmocnienie legalnych instytucyj francuzkich, opartych na legalnie wybranej reprezentacji kraju.

Przed derouledowską awanturą Nemo (p. powyżej „Feljeton paryzki") zestawił przyszły rząd francuzki, jaki wypływałby logicznie z programów przez ligowców głoszonych, przedstawiając go jako drastyczny przykład rządu, na który niktby się we Francji nie zgodził. Otóż na urzeczywistnienie takiej śmiesznej mrzonki porwał się fanatyk-warchoł—poeta Déroulède.

Podczas, gdy na pustym już cmentarzu Père Lachaise murarze budowali sklepienie nad trumną zmarłego prezydenta, a wszystkie władze krajowe, złożywszy wieńce i oddawszy zmarłemu honory, powracały do zwykłych zajęć, by puścić w ruch wstrzymaną pogrzebem maszynę państwową, garstka awanturników usiłowała wywrócić porządek państwowy. Déroulède nie zwierzył się swym zwolennikom ze swych zamysłów. Wydał tylko rozkaz, by trzymali się w pogotowiu, ograniczając się do rozesłania listów do jenerałów, wzywając ich, by pomogli mu „ratować Francję".

Poeta Déroulède urządził swój zamach stanu, jak piąty akt na efekt obliczonego dramatu ludowego. Swym zwolennikom polecił gorąco czynić owacje armji, okrzykami rozgrzewać publiczność i wojsko, i czekać wypadków, które nadejdą, gdy *On* się pojawi! Jakoż nieobecny dotąd trybun zjawia się nagle w chwili, gdy przez ulice przeciąga brygada pod komendą jen. Roget. Jenerał ten był szefem biura Cavaignaca, potem wnosił zażalenie na „stronniczość" trybunału kasacyjnego, niema więc wątpliwości, że „dreyfusistów" nie lubi, a „patrjoci" kochają go jako swego. Zbliżającego się na czele wojska witają entuzjastyczne okrzyki; „niech żyje armja!" „niech żyje armja!"—brzmi na wszystkie strony i ze wszystkich stron zlatuje się publiczność, przerywa łańcuchy policji, otacza wojsko i jak zbawcę wita jenerała, kłaniającego się uprzejmie z podziękowaniem za owację.



Wtedy, jak z pod ziemi (akt piąty!), wyskakuje rosła postać natchnionego trybuna-poety.

— Ratuj Francję jenerale!

„Ratuj! ratuj!"—brzmi z tysięcy piersi, ale jenerał, jak głuchy, głowę już nakrył, dobytą szpadę służbiście do boku ciśnie, i jedzie dalej spokojnie.

— Do Elizejskiego pałacu! — komenderuje znów Déroulède, a gdy mimo tego, że okrzyk ten powtarza cała tłuszcza, jen. Roget wiedzie swój oddział ku koszarom, Déroulède chwyta mu wierzchowca u pyska i w bok go prowadzi, a ligowcy żołnierzy biorą pod ramiona i sami rozpaleni, pewni, że zapałowi ich nic oprzeć się nie zdoła, wieźć ich chcą na detronizację Loubeta!





Płazem na rękę Déroulèda padająca szpada jenerała i lewa jego ostroga, przyciśnięta nerwowo za popręgiem, oswobodziły jen. Rogeta z rąk jego nieproszonych wielbicieli, a równocześnie żołnierze zacisnęli szeregi, wyrzucając z nich intruzów. Déroulède nie daje za wygraną, przyczepił się do „zbawcy Francji" i nie wypuści go, aż swego dokaże. Czego nie osiągnął okrzykami i zapałem ulicznym, tego dopnie swą porywającą wymową, gdy sam na sam znajdzie się z jenerałem w koszarach. Podczas gdy „patrjoci" wciąż wydają okrzyki przed zamkniętą za wojskiem bramą koszar, Déroulède i Hobert wtargnęli do wnętrza i puszczają szluzy swej wymowy. Jen. Roget każe ich aresztować i zawiadomić policję, skoro dobrowolnie opuścić koszar nie mają ochoty.

Nie po myśli poety wypadł akt piąty! Noc, spędzona w policyjnem więzieniu, a nazajutrz sądowe śledztwo i sądowy areszt! P. Dupuy nie uznał za właściwe wziąć rzecz z humorystycznej strony, zapewne nie ze względu na Déroulèda, którego sam jen. Roget o lekkiego bzika posądza, ale z uwagi, że awantura ta dała mu sposobność do załatwienia się jednym zachodem i z innemi, mniej lub więcej humorystycznemi knowaniami, których suma składała się na wywoływanie pewnego niepokoju o jutro, który ogarniał paryzką ludność. Izba udzieliła ministrowi pełnomocnictwa do sądowego ścigania aresztowanych w koszarach dwóch posłów, a równocześnie komisarze policji odbyli rewizje po mieszkaniach znanych zwolenników ks. Orleańskiego i głównych bonapartystów, konfiskując ich korespondencję. Francja, *toute proportion gardée,* wygląda, jak nazajutrz po ucieczce Boulangera, który, prócz krzykaczów ulicznych, miał za sobą połowę niemal wyborców kraju.

Należy przypuszczać, że awantura derouledowska podziała wytrzeźwiająco na społeczeństwo francuzkie. Zapalony trybun z logiką i uporem, właściwym ludziom, nawiedzonym przez jakąś *idée fixe*, znalazł jedno rozwiązanie dreyfusowskiego zamieszania: puścić się na awanturę i w obawie, że sąd najwyższy mógłby uniewinnić znienawidzonego skazańca, rozstrzygnąć sprawę plebiscytem silnych gardeł. „Nie wierzę nikomu, więc sam chcę rządzić!" Społeczeństwo francuzkie znajdzie może inne rozwiązanie. Nawet, gdyby dowiedzionem było, że Dreyfus jest winnym i prawidłowo skazanym, wolałoby zapewne puścić go na wolność, a zachować instytucje, którym Francja zawdzięcza swój rozwój i pomyślność, niż zatrzymać go nadal na Czarciej wyspie za cenę... rządów Déroulèda!

Mimowoli Déroulède oddał Francji usługę.

F.

ECHA ZACHODNIE.

(Listy korespondentów „Kraju").

Lwów, 25 lutego.

[Sprawa galicyjskiej kasy oszczędności].

△ Kiedy w grudniu roku zeszłego marszałek krajowy odraczał sesję sejmową po czterodniowych obradach, nie przewidywał nikt, że podczas siedmiotygodniowej przerwy wyłoni się sensacyjna sprawa, która zelektryzuje cały kraj i stanie na porządku rozpraw sejmowych. Przypomnijmy króciutko przebieg tych nad wyraz smutnych wypadków, ażeby tem dokładniejszy wyrobić sobie obraz obecnych zawikłań. Galicyjska kasa oszczędności, istniejąca we Lwowie od roku 1842, należała oddawna już do najwybitniejszych instytucyj finansowych w kraju, a złożony w niej kapitał, pochodzący przeważnie od średniozamożnej i ubogiej ludności, wynosił 30 miljonów złr. Statut, zabraniający kategorycznie angażować oszczędności te w spekulacjach ryzykownych, stanawił, że kasa ma pewną część swoich zysków corocznie przeznaczać na

cele publiczne. Dzięki temu postanowieniu mnóstwo stowarzyszeń i zakładów dobroczynnych otrzymywało znaczne zasiłki w formie subwencji, a nie dawniej, jak przed dwoma laty, uchwaliła kasa oszczędności ofiarować 400 tys. zł. na wybudowanie muzeum przemysłowego we Lwowie. Hojna ta fundacja w połączeniu z faktem, że w r. 1893 wzniesiono na pomieszczenie biur kasy wspaniały gmach przy ul. Karola Ludwika kosztem blizko miljona zł., ugruntowała tem bardziej powszechną opinję o kwitnącym stanie interesów tej instytucji.

Nagle—w połowie ubiegłego miesiąca rozpoczął się ów głośny popłoch, polegający na wycofywaniu wkładek oszczędnościowych. O przyczynach paniki nie umiał nikt nic pozytywnego powiedzieć, kolportowano tylko najsprzeczniejsze pogłoski, a każda z nich usiłowała wytłómaczyć początek burzy finansowej za pomocą jakiejś intrygi, ukartowanej ku szkodzie instytucji przez wrogie jej żywioły. Dzienniki w najlepszej wierze starały się uspokoić zatrwożoną publiczność, jednakże wszelkie zapewnienia, że wszystko jest w porządku, nie zdały się na nic—i kasa musiała dotąd, w przeciągu tak krótkiego stosunkowo czasu, wypłacić gotówką około 4 i pół miljonów wkładek, nie licząc wypowiedzeń terminowych, których jest na przeszło 6 miljonów. Dopiero w miesiąc po rozpoczęciu się popłochu, gdy namiestnictwo, jako władza obowiązana do kontrolowania czynności bankowych, wdało się w tę sprawę, wyszły na jaw właściwe jej sprężyny. Pokazało się mianowicie, że od kilku już lat dyrektor kasy oszczędności, p. Franciszek Zima, obywatel dotąd zupełnie nieposzlakowany, i będący jedną z głów stronnictwa liberalnego w kraju, angażował kapitały kasy z lekkomyślnością, graniczącą z obłędem, i wbrew wyraźnemu brzmieniu statutu, w ryzykowne przedsiębiorstwa naftowe, pożyczając je na weksle, bez dostatecznego pokrycia p. Stanisławowi Szczepanowskiemu i wielkiej spółce przemysłowej Wolski-Odrzywolski. Suma, którą ci panowie wypożyczyli z kasy oszczędności, wynosi 7,112,735 zł. Spółka Wolski i Odrzywolski oddała dobrowolnie w sekwestr wszystkie swoje kopalnie, biorąc na siebie także cały dług p. Szczepanowskiego. Niestety—na kopalniach wspomnianych ciąży już miljonowa pretensja fabryki düsseldorfskiej, a jeżeli się nadto uwzględni, jak niepewnym interesem jest każde przedsiębiorstwo naftowe, nie można przewidzieć wyniku jego realizacji.

Sprawa kredytu firm: Szczepanowski, Wolski i Odrzywolski, z których pierwsza zwłaszcza utraciła swą wartość finansową, wstrząsnęła całem społeczeństwem i wywołała olbrzymie zaniepokojenie wszystkich, którzy wiedzieli, jak doniosłą instytucją kredytową była kasa oszczędności dla naszych drobnych rękodzielników i przemysłowców—i którzy słusznie mogli obawiać się, że po 50 latach chlubnego istnienia instytucja ta runie. Istotnie, zaufanie do niej znikło zupełnie, a popłoch wśród publiczności przybierał coraz groźniejsze rozmiary. Fundusz rezerwowy kasy, wynoszący około 4 i pół miljonów, nie wystarczał w rozumieniu wszystkich na pokrycie strat, wynikających z pożyczek naftowych—i widmo niewypłacalności zdawało się nieuniknionem. Prasa wiedeńska zajęła się sprawą kasy oszczędności, jak zawsze, bardzo „serdecznie"; przysłowie o „polskiej gospodarce" nabrało aktualności, a skandal z bankowego zrobił się prawie narodowym. W takich warunkach, wśród ogólnego już rozgoryczenia i oskarżeń, wymierzanych, słusznie zresztą, przeciw mnóstwu osób znanych w całym kraju, rozpoczęła się interwencja rządu pod osobistem kierownictwem namiestnika, hr. Pinińskiego.

Wzamian usuniętego dyrektora Zimy, objął ster kasy oszczędności komisarz rządowy, radca Jegerman, i przy pomocy powołanych do tego osób, przeprowadził dokładne zbadanie ksiąg i bilansów. Wynik tych dochodzeń był taki, że we czwartek wieczorem komisarz policji, na polecenie prokuratora państwa, uwięził dyrektora Zimę i głównego buchaltera Wędrychowskiego, obu pod zarzutem zbrodni oszustwa, popełnionego przez fałszowanie ksiąg, nadto zaś Zimę pod zarzutem sprzeniewierzenia powierzonych sobie depozytów sądowych. Wiadomość o tem aresztowaniu, jakkolwiek oczekiwanem, wywarła niesłychanie silne wrażenie. Dotychczas jeszcze starano się bronić p. Zimę ślepą wiarą w przedsiębiorczość p. Szczepanowskiego i wpływem nieprzepartym, jaki ten idealog-przemysłowiec na niego wywierał swojemi śmiałemi pomysłami—z chwilą jednak, gdy wyszło na jaw, że oprócz pozycji naftowych, istnieje jeszcze przerażająca liczba lekkomyślnych pożyczek wekslowych, również niezatytułowanych, najgorliwsi obrońcy zamilkli. Gospodarka p. Zimy, jeżeli się uwzględni kilkudziesięcioletnią czystą i uczciwą działalność tego człowieka, może się wytłómaczyć już chyba tylko psychopatycznemi pobudkami.

Tymczasem zbierający się w tym czasie właśnie Sejm postanowił ocalić kasę oszczędności od rozbicia i w chwili, gdy przeciw dyr. Zimie i buchalterowi Wędrychowskiemu toczy się śledztwo karne, przygotowujące materjał do przyszłego procesu, w którym być może więcej jeszcze osób zostanie skompromitowanych, wyłoniła się myśl, ażeby kraj udzielił 30-miljonową gwarancję wkładkom kasy oszczędności, a wzamian za to otrzymał silny nadzór nad nią i jej działalnością. W tej sprawie odbyło się kilka narad wstępnych, w których wzięli udział namiestnik hr. Piniński i marszałek hr. St. Badeni, poczem na posiedzeniu sejmu d. 25 lutego przedłożył Wydział krajowy posłom sprawozdanie swoje w przedmiocie gwarancji kraju dla kasy oszczędności. Sprawozdanie to, określające możliwe straty instytucji na 4,430,612 zł., wykazuje fatalne następstwa, jakie upadek jej pociągnąłby za sobą dla ogólnych stosunków kredytowych w kraju i kończy się wnioskiem, aby sejm uchwalił wspomnianą gwarancję z zastrzeżeniem sobie decydującego wpływu na odrodzoną w ten sposób kasę oszczędności.

Izba odesłała przedłożenia wraz z wnioskami do komisji budżetowej, która odbyła już kilka posiedzeń, pod przewodnictwem b. ministra Dunajewskiego, i na poniedziałkowem posiedzeniu sejmu poda sprawę rozstrzygnięciu posłów. Uchwalenie gwarancji jest rzeczą pewną, ztąd też w tej chwili już można był kasy oszczędności uważać za ocalony. Ostatni akt dramatu rozegra się przed sądem, przed którym stanie dyrektor Zima i może więcej współwinnych, angażowanych w nieszczęsnej gospodarce funduszami publicznemi. Sprawę kasy oszczędności wyzyskano przeciw stronnictwu liberalnemu, co prawda u nas bardzo szczupłemu i nieposiadającemu nawet wyraźnie sformułowanego programu. Poseł Szczepanowski złożył swój mandat do sejmu i cofnął się zupełnie z życia publicznego.

Ł. K.

Z nad Warty, w lutym.

[Z sejmu. Stosunki szkolne. Proces prasowy].

△ W Berlinie, podczas obrad sejmowych nad etatem spraw wewnętrznych, prowadził akcję polską ks. dr. Jażdżewski. Jak zwykle, mówił długo i rozwlekle, powołał się jednak na niektóre argumenty bardzo trafne i tak dojmujące, że nikt z przeciwników nie zdołał na nie odpowiedzieć. Między innemi chodziło ks. J. o to, żeby przeciąć argumentację przeciwnej strony, że zmierzamy do oderwania się od Prus, a skutkiem tego nie zasługujemy na zaufanie rządu. Szczególniej też lubią przeciwnicy nasi powoływać się w Prusach na rewolucję z r. 1848, dzięki której rzekomo utraciliśmy wszelkie prawa, zastrzeżone przez kongres wiedeński. Otóż ks. Jażdżewski przypomniał, że za panowania Fryderyka III Koła nasze w sejmowem i parlamentarnem ciele prawodawczem, oraz w Izbie panów, złożyły adres poddańczy i otrzymały z rozkazu cesarza od kanclerza najłaskawszą odpowiedź, stwierdzającą, że korona miała i ma zaufanie do polaków. Pod odpowiedzią tą podpisanym był nie kto inny, tylko sam żelazny kanclerz książę Bismark. Było to w r. 1888, a więc dawno po rewolucji z r. 1848 i zawieruchach z roku 1863. Cóż się od tego czasu stało, coby upoważniało rząd do szczególnej nieufności względem polaków? tak pytał ks. Jażdżewski słusznie w tem przypuszczeniu, że otrzyma na swe pytanie odpowiedź. Ale odpowiedzi tej nie otrzymał i rzecz cała wpadła w wodę.

Ks. Jażdżewski wciąż z trybuny krytykuje prasę polską. Do wygłaszania krytyki takiej, zresztą często bardzo słusznej, poseł wybiera miejsce niezupełnie właściwe, bo ani rząd, ani hakatyści Kołu i społeczeństwu polskiemu nic za to nie dadzą i tylko stwierdzą z satysfakcją, że polacy sami między sobą się kłócą. Lepiej było wpływać prywatnie na niesforność prasy, a nie z trybuny parlamentarnej, gdyż przez takie wystąpienia daje się też prawo krytykowania publicznego akcji całego Koła, a przyczyn do tego by nie brakło, bowiem posłowie nasi wogóle nie zbierają dość skrzętnie i pilnie materjału, któryby w systematyczny sposób zużyć mogli w debatach. Materjał ich jest dorywczo w ostatniej chwili zebrany, gdyż za mało się posłowie stykają z wyborcami, a już prawie zupełnie pomijają argumenty prasy. Prasa często podaje fałszywe wiadomości i zmusza do bardzo ostrożnego ich traktowania, ale nieraz podaje bar-

dzo dobre argumenty, które należałoby wyzyskać.

Bardzo ostrą zapewne będzie znów dyskusja podczas obrad nad etatem wyznań i oświaty. Bo też nasi satrapi powiatowi, *vulgo* inspektorowie szkolni, pozwalają sobie na wydawanie edyktów, zupełnie sprzecznych z obowiązującem prawem. W powiecie gostyńskim np. nakazał taki satrapa odmawianie pacierza po niemiecku we wszystkich szkołach elementarnych. Zżymają się rodzice, opierają się temu rozkazowi dzieci, za co ryczałtowo odbierają kary i co piąty chłostę. Minister potem powie: proszę mi donieść o nadużyciach, a ja winnych ukarzę. A cóż może plagi wynagrodzić? Ich skutek będzie taki, że w dzieciach wzmocni się polskie uczucie narodowe.

Świeżo zaszedł tu osobliwy wypadek, że sąd skazał redaktora „Posener Zeitung“ na dwa miesiące więzienia za obrazę naczelnego prezesa, barona Wilamowitza-Moellendorfa. Ów redaktor niedawno objął kierownictwo niemieckiej gazety liberalnej i nadał jej charakter antypolski, równocześnie zaś w najdosadniejszy sposób krytykował cesarza, rząd i urzędników, nie będących w łaskach u hakatyzmu. Dzban nosił wodę, aż się ucho urwało, a Nemezis liberalna zażądała ofiary.

Modest.

△ **Berlin**. Sejmowi pruskiemu nadesłano, jak corocznie, memorjał komisji kolonizacyjnej dla W. Ks. poznańskiego i Prus zachodnich, określający działalność tejże komisji w roku zeszłym. Z memorjału podajemy następujące szczegóły: Ogółem ofiarowano w r. 1898 na sprzedaż 252 majątków większych i mniejszych, oraz 92 gospodarstwa włościańskie, razem obszaru 127,758 hektarów. W liczbie tej było 210 majątków i 63 gospodarstw niemieckich. Komisja nabyła 15 majątków rycerskich, 9 większych posiadłości, tworzących samodzielne obwody, i 9 gospodarstw włościańskich. Memorjał nie powiada, ile z zakupionych posiadłości było w rękach polskich. Ogółem zakupiono 14,828.76 hektarów za 11,478,100 marek. Cały obszar, nabyty przez komisję od początku jej istnienia, wynosi 112,467.81 hektarów, za które zapłacono 71,441,226.87 marek. I to z niemieckiej ręki 32,77 proc., t. j. 36,865.50 hektarów za cenę 19,543,522.70 mar., z polskiej ręki 67,23 proc., t. j. 75,602.31 hekt. za cenę 51,897,704.17 marek. Co do kolonistów, to 41 proc. pochodzi z W. Ks. poznańskiego i Prus zachodnich, w liczbie pozostałych znajduje się 87 rosyjskich i 8 austrjackich poddanych. Najwięcej, bo 114 kolonistów, dostarczyła Westfalja,—najmniej przywędrowało kolonistów z Szlezwigu-Holsztynu, bo tylko 2. Ogólne rozchody komisji kolonizacyjnej, począwszy od roku 1886, wynosiły 109 miljonów, ogólne dochody 20 miljonów marek.

△ **Drezno**. Donoszą „Wiarusowi Polskiemu“, że w tamtejsze okolice przybywają codziennie robotnicy polacy, którzyby lepiej byli zrobili, żeby zatrzymali się jeszcze w domu, ponieważ w tamtejszych cegielniach i przy budowlach prac jeszcze nie rozpoczęto z obawy, że mógłby jeszcze przyjść mróz. Niektórzy robotnicy po 3 i 4 tygodnie czekają na pracę. Wieś Löbtau, granicząca z Dreznem, otrzymała na stałe księdza katolickiego. W Dreznie i pod Drezdnem większą część katolików stanowią polacy, lecz niema tam nabożeństw w języku polskim; Saksonja wogóle wzrost katolicyzmu zawdzięcza polakom.

JENERAŁ GORDON.

[W celu pomszczenia śmierci Gordona, zamordowanego w Khartumie przez hordę Mahdiego, anglicy przedsięwzięli zeszłoroczną wyprawę, zakończoną bitwą pod Omdurmanem. Obecnie pokonany całkowicie Kalif zebrał nowe zastępy i wyrusza na północ przeciw wojskom angielskim. Złamaną jego potęgę i popularność ożywiła niespodziewanie wiadomość, że jen. Kitchener, mszcząc Gordona, zburzył grób Mahdiego i zwłoki jego wrzucić kazał do Nilu. Derwisze pomścić więc znów pragną zbezczeszczenie zwłok swego wodza. Warto uprzytomnić sobie postać żołnierza-apostoła, który stał się powodem tylu zajść krwawych].

Pogrom mahdystów pod Omdurmanem, potem zebranie funduszu na założenie „szkoły Gordona“ w Khartumie przypomniały światu tę kartę historji, o której Anglja zapomnieć nie mogła na chwilę, a za której przedarcie, jak się wyraził lord Roseberry, anglicy równie są wdzięczni Kitchenerowi, jak za napisanie świetnej karty nowej. Kartę tę,



POMNIK GORDONA, dłuta Onslow Forda.

smutną w historji angielskiej stanowi pozostawienie bez pomocy jenerała Gordona, który też poległ dnia 26 stycznia 1885 r., po bohaterskiej obronie, z ręki zwycięzkich mahdystów.

Postać obrońcy Khartumu wyrosła niebawem do rozmiarów bohatera i apostoła, a przyznać należy, że legenda, która jego imię aureolą męczennika narodowego otoczyła, wiele rysów dodawać nie potrzebowała do tego, co historja zapisała, by stworzyć narodowe bożyszcze. Lat temu 13 gabinet angielski przez oszczędność zwlekał z zorganizowaniem odsieczy; obecnie pomszczenia Gordona Anglja okupić nie mogła dość drogo, a na uczczenie jego pamięci, prócz pomników, miljon w parę dni złożono na szkołę dla sudańczyków.

Karol-Jerzy Gordon był anglikiem, ale przedewszystkiem był chrześcjaninem i cywilizatorem. Ostatnie jednak dopiero 10 lat jego życia odsłoniło prawdziwe, a podziwu godne rysy jego charakteru; przedtem był oficerem ubogim, a przedsiębiorczym, nieco awanturniczym, gotowym do służenia różnym panom we wszystkich częściach świata. Urodzony w roku 1833, skończył akademję inżynierów, bił się pod Sewastopolem w 1855 r., jako świeżo mianowany porucznik, i odniósł tam pierwszą ranę; potem był członkiem komisji, wytyczającej rosyjsko-turecką granicę. Wysłany następnie z wyprawą do Chin, pozostał tam lat parę, zwiedził kraj wszechstronnie, a w 1863 r. objął dowództwo nad wojskiem chińskiem i poskromił powstanie taipingów, z którem poprzednicy rady sobie dać nie mogli. Po powrocie był inżynierem, następnie przedstawicielem Anglji w komisji naddunajskiej, a także kierował pracami kanalizacyjnemi w Rumunji.

W r. 1873 wstąpił do służby egipskiej i zaraz w roku następnym mianowany został gubernatorem Sudanu. Tutaj 40-letni Gordon dał się poznać zupełnie z nowej strony. Przyjął stanowisko pod warunkiem, że rząd egipski zgodzi się na zupełne reformy i w lat cztery zmienił cały kraj do niepoznania. Przed nim Sudan stanowił źródło szybkiego wzbogacania się dla egipskich dygnitarzy, którzy układali się o podział zysków z handlarzami niewolników. Siedm ósmych części ludności Sudanu egipskiego składało się z niewolników, którymi handlowano, o ile sąsiednie rozbójnicze szczepy nie zabierały ich bezpłatnie, jako łup wojenny. Zbiedniała ludność płaciła za zboże lub inwentarz, oddając swoje dzieci w niewolę. Gordon rozpędził egipskich urzędników, ścigać począł handlarzy niewolników, stał się opiekunem i przyjacielem ludności, której wolność przywrócił, zabezpieczył ją linją fortów od rozbójniczych napadów, przedsiębrał na wszystkie strony wyprawy, by zgnieść państewka, oparte na handlu niewolnikami, w 3 tysiące ludzi uśmierzył i uspokoił kraj cały, swej władzy podległy, i wdrażać począł ludność miejscową do spokojnych zajęć, zapewnić jej mających dobrobyt. Gordon w lat cztery stał się nietylko panem uspokojonego Sudanu, ale jego dobroczyńcą słuchanym i kochanym.

Intrygi paszów egipskich, którym zniesienie niewolnictwa nie przypadło do smaku, dokazały tego, że w roku 1879 Gordon musiał ze swego stanowiska ustąpić. Podjął się najpierw misji do Abisynji, potem, jako sekretarz lorda Ripona, wice-króla Indyj, wybrał się do Bombayu. Niezadowolony ze swego podrzędnego stanowiska, niebawem ustąpił, udał się do Chin, zaproszony przez Li-Hung-Czanga, ale i tam nie znalazł pola dla swej działalności. Powrócił do Europy, bawił w Belgji i Szwajcarji, następnie z misją rządową udał się do Kaplandu, a po jej spełnieniu przedsięwziął pielgrzymkę do Ziemi świętej, podczas której codzień pisać począł swe „Medytacje“. Następnie z polecenia króla Leopolda objąć miał rządy nad belgijskiem Kongo, gdy Anglja zapotrzebowała znów jego usług.

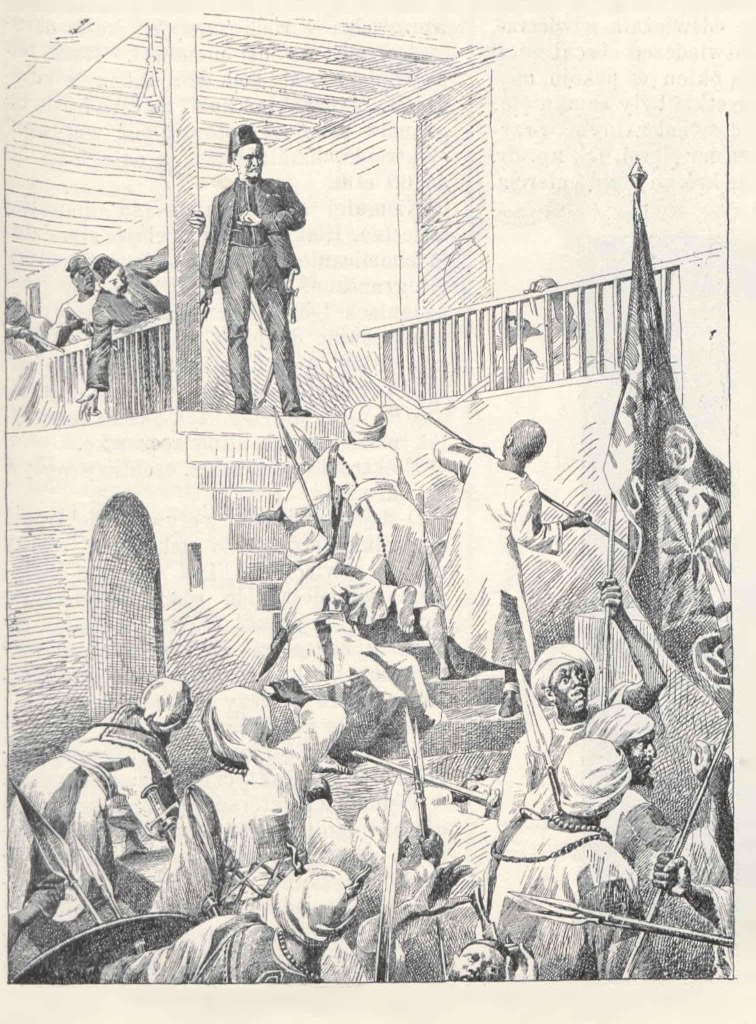
W Sudanie panował wówczas krwawy prorok Mahdi, który zniszczył całe dzieło Gordona i przywrócił, wraz z niewol-

nictwem, najdziksze rządy, jakie kiedykolwiek kraj ten pustoszyły. Gabinet Gladstona nie chciał przedsiębrać kosztownej wyprawy, dla zdobycia na nowo tych prowincyj dla Egiptu, postanowił natomiast wycofać ztamtąd angielskie załogi, przeszło 20 tys. ludzi, rozstawionych w Khartumie, Berberze, Dongoli, Kassali, Faszodzie i t. d. Nie było to zadanie łatwe; rozproszone po kraju załogi, oblegane przez mahdystów, władających całym Sudanem, zebrać trzeba było i wyprowadzić do Egiptu, opędzając się niezliczonym hordom. To zadanie powierzono Gordonowi, a on sam dodał sobie jeszcze drugie: rządzić Sudanem bez wojska, jedynie dobrocią swoją i sprawiedliwością.

W styczniu 1884 r. Gordon wyjechał z Londynu i przybył do Kairu bez żadnej parady, w zwykłem swem czarnem ubraniu, bez eskorty ani pakunków i puścił się natychmiast w drogę dla objęcia na 11 miesięcy nad Sudanem rządów, które zakończyć się miały tak tragicznie. Ponieważ krajem władali mahdyści, Gordon puścił się w drogę przez puszczę na wielbłądzie, i samotną tę podróż wielkorządcy wyobraża wykonany przez rzeźbiarza Onslow Ford pomnik, którego podajemy podobiznę. Przybywszy do Khartumu, Gordon spalić kazał publicznie wszystkie narzędzia tortur i księgi, w które urzędnicy egipscy wpisywali grzywny, uwolnił więźniów, sam wymierzać począł wszystkim sprawiedliwość, powoławszy do swego boku przyboczną radę, złożoną z miejscowej ludności. Rozejrzawszy się w położeniu i widząc nadspodziewany wzrost mahdyzmu, Gordon ostrzegł swój rząd, że obecnie niewielkim kosztem odzyskać można Sudan, a potem trzeba będzie na to wielkich wysiłków, gdy Mahdi zagrażać pocznie Egiptowi.

Rozkazu, że załogi odesłać należy, usłuchał, wysłał z Khartumu wszystkich egipskich urzędników i angielskich oficerów, a sam pozostał, sam jeden, sformowawszy z tubylców oddział dla obrony miasta. Mógł się wycofać bezpiecznie, ale uczynić tego nie chciał, bo nie spełnił swej misji: garnizony angielskie nie znajdowały się jeszcze po za granicami Sudanu. W marcu odcięty został od Egiptu i odtąd o losach jego dowiadujemy się z dwóch źródeł: z rzadkich depesz, które przesłać zdołał przez umyślnych wysłańców i z jego pamiętnika, któremu zwierzał się ze swych myśli. W depeszach z całym spokojem przepowiada konieczność katastrofy. „Mamy żywności na pięć miesięcy“ —brzmi wiadomość na pięć miesięcy przed śmiercią; „oczekuję katastrofy za dni 10“ — brzmi wiadomość ostatnia.

W pamiętniku swoim jenerał Gordon opowiada spokojnie swe przejścia i oblicza z góry swój koniec, którego uniknąć nie może, bo utrzymać się nie może bez pomocy z zewnątrz, uciekać nie chce, a poddanie się proponował mu wprawdzie Mahdi, ale pod warunkiem zmiany wiary, i Gordon odrzucił z oburzeniem tę propozycję, a w pamiętniku pisze: „Nie małą to rzeczą jest, by chrześcjanin wyrzekł się wiary w obawie śmierci. Czyż są silniejsze słowa, niż te: Kto się mnie wyprze na ziemi, tego ja wyprę się w niebiosach“? Dnia 10 listopada pisze: „Dzisiaj obliczałem, że pomoc przyjść może“. W dwa dni później Mahdi bombarduje miasto; Gordon się broni, ale ogłodzone miasto szemrze. W miesiąc potem pisze: „Z 200 angielskimi żołnierzami ocaliłbym miasto“.



D. 26 stycznia w nocy, skutkiem zdrady, mahdyści wchodzą do miasta i Gordon, widząc powiewający ich sztandar, wkłada po raz pierwszy swój mundur galowy, przypasuje pałasz i wychodzi do drzwi swego pałacu, otoczonego już zewsząd. Staje we drzwiach z rewolwerem w ręku na znak, że się nie poddaje, ale nie strzela: poco niepotrzebnie krew przelewać. Czeka dość długo, bo hordy Mahdiego nie śmią zbliżyć się do tego żołnierza, co spokojnie ich oczekuje u progu. Wreszcie podczołgało się kilku doń na czworakach: jeden ugodził dzidą i zaraz cała horda siekać go poczęła.

W dwa dni później, dnia 28 stycznia, kanonjerki angielskie podpłynęły pod Khartum i cofnęły się, przekonawszy się, że przyszły za późno.

Upadek Khartumu zrobił w Anglji silne wrażenie, które spotęgowało się jeszcze, gdy znaleziono i ogłoszono pamiętnik Gordona. Rząd polecił dochodzenie nad dziejami jego obrony i nad powodami opóźnienia z odsieczą młodemu pułkownikowi, znanemu ze swej służbistości, daru organizatorskiego i zaciekłości w spełnianiu swych postanowień. Pułkownik ten został w lat kilka potem naczelnym dowódcą egipskiej armji, a dziś, jako „lord Khitchener of Khartum“, zakłada „szkołę Gordona“ na zgliszczach jego stolicy.

A.

U ŹRÓDŁA „ELEKTROIDU“.

[Warszawa gorączkowo zajmowała się w ostatnich czasach wynalazkiem p. Rychnowskiego. Korespondent nasz donosi nam, że zainteresowanie to ogarnęło raczej szerokie koła pism warszawskich, niż świat naukowy i przemysłowy i przypisuje to tej okoliczności, że przedstawiciele p. Rychnowskiego, którzy szukali w Warszawie kapitałów w celu wyzyskania przemysłowego wynalazku, postępowali sobie „zbyt po amerykańsku“. Zdaniem naszego korespondenta, panowie ci starali się przedewszystkiem o rozgłos w najpoczytniejszych dziennikach, trzymając w tajemnicy samą treść wynalazku, zachwalanego po pismach. Wobec tego misja ich spełzła na niczem. Poniżej podajemy szczegóły o wynalazku pana R., nadesłane nam przez jednego z lwowskich korespondentów].

Rozgłos, jaki sobie w świecie zyskał Szczepanik, czeka, jak się zdaje, innego wynalazcę naszego, p. Fr. Rychnowskiego, inżyniera lwowskiego, który po wielu próbach zbudował przyrząd, przy pomocy którego otrzymuje się cały szereg zjawisk, różniących się od wszystkich dotychczas znanych, a wskazujących z wielu względów na to, że to może być, lub raczej jest hypotetyczny eter (Maxwell, Faraday), albo też promienista materja (?) Crooks'a, którą się Rychnowskiemu udało wyosobnić i przy pomocy swego przyrządu, jako taka, ująć. Nie przesądzając zresztą rzeczy, możnaby przypuszczać, że Rychnowskiemu udało się nagromadzać ów tajemniczy eter w większych ilościach. W pewnych warunkach, szczególniej, gdy prąd owej energji, czy materji, którą dla krótkości nazwijmy eterem lub—jak chce Rychnowski—„elektroidem“, napotyka na pewne przeszkody, daje on zjawiska podobne do zjawisk elektrycznych, które (i to fakt godny uwagi) występują zwłaszcza wtedy, kiedy jako przeszkody dla wypływającego prądu zostały użyte dobre przewodniki elektryczności, więc metale, podczas gdy przeciwnie złe przewodniki elektryczności (dielektra), nie tak ułatwiają przechodzenie elektroidu w elektryczność, natomiast wywołują objawy stałego przyciągania.

Zjawiska te w pewnych warunkach podobne są do zjawisk, otrzymywanych przez Teslę, ale w zasadzie różnią się od nich, a przytem różnolitość ich jest iście zdumiewająca, bo elektroid wywołuje zjawiska mechaniczne (ruch), świetlne, elektryczne i magnetyczne; elektroid wreszcie działa w specjalny sposób na barwy, na płytę fotograficzną, jakoteż na procesy ściśle fizjologiczne. Zjawiska, osiągane przez Rychnowskiego za pomocą jego przyrządu, tak są zdumiewające, że zwróciły już na siebie uwagę prasy angielskiej i francuzkiej, która przewiduje istny przewrót w nauce i jej praktycznych zastosowaniach. Zaproszony przez profesora Roszkowskiego, obecnie teoretycznego współpracownika Rychnowskiego, zjawiłem się w laboratorjum, położonem we Lwowie przy ul. Chorążczyzna. Pracownia Rychnowskiego, prywatnemi jego funduszami założona i utrzymywana, bardzo jest skromna i mała.

Oto parę wiadomości bjograficzno-historycznych:

— Urodziłem się — mówił mi p. Franciszek Rychnowski — w 1850 r. w Velehradzie na Morawach. Ojciec mój, chociaż na obczyźnie zrodzony, był pochodzenia polskiego, i ja się też za polaka uważam. Wychowanie odebrałem w Wiedniu, gdzie kończyłem szkołę realną i politechnikę, poświęcając się mechanice. Po ukończeniu studjów, zacząłem pracę praktyczną i przebywałem w Wiedniu aż do r. 1875, kiedy to ks. Leon Sapieha namówił mnie, abym przeniósł się do Lwowa i tam z pożytkiem dla kraju pracował. Ożeniwszy się z krakowianką, otworzyłem warsztat mechaniczny, pracując w zakresie kaloryki i elektrotechniki, do której miałem pociąg od dzieciństwa, bawiąc się elektrycznością w wolnych chwilach. Zresztą uzyskałem cały szereg patentów mechanicznych, a w r. 1879 zaprowadziłem elektryczne oświetlenie gmachu sejmowego.

— Co pana naprowadziło na wykrycie elektroidu?—spytałem, chciwy przystąpienia *ad rem*.

— W toku doświadczeń, zbudowałem aparat, przy którego pomocy udało mi się otrzymać fale ogromnej potęgi, chociaż używałem motoru zaledwie sześciu koni parowych. Fale owej energji podobne były do fal Herza lub Tesli. Aparat ów, to poprostu przerywacz, działający tak szybko, że nie pozwalał na powstanie iskry elektrycznej, wskutek czego elektryczność nie mogła przejść do przewodnika, lecz została skierowana w przestrzeń. Wskutek szybkiego drgania eteru powstawały objawy świetlne, i to tak potężne, tak intensywne, że przechodziły nawet przez zwyczajne mury z cegły. Wzór tego przerywacza istnieje dotąd na politechnice lwowskiej. Zresztą brałem z tym samym aparatem udział w elektrycznej wystawie wiedeńskiej r. 1883 Z tego pan widzi, że uprzedziłem nietylko Teslę, ale nawet Herza, który robił swoje doświadczenia w roku 1889—90.

— Przerywacz ten był pierwszym krokiem do zbudowania obecnego pańskiego przyrządu?

— Tak panie. Zjawiska, jakie otrzymałem, wskazywały na istnienie jakiejś nowej materji i nowej energji. Chodziło teraz o ujęcie jej i poddanie próbom. Przy doświadczeniach, których cały szereg podjąłem, zauważyłem rzecz charakterystyczną, bo zapach świeżego powietrza, który podczas doświadczeń wywiązywał się. To mnie naprowadziło na myśl zbadania własności świeżego powietrza, które, jak się okazało, wydaje w ciemni świecące mgły, podczas kiedy powietrze nieświeże objawu tego nie okazuje. Zbudowałem tedy maszynę elektryczną, która odświeżała powietrze, tak, że podczas doświadczeń obecni mieli wrażenie otwartych okien w pokoju, chociaż w istocie wszystkie były zamknięte. Pobyt w pokoju doświadczalnym przynosiła ulgę chorym na piersi, jak np. dr. Krówczyńskiemu na krótko przed śmiercią.

Z wszystkich tych zjawisk wyciągnąłem wniosek, że mam do czynienia z czemś nowem, nauce jeszcze nieznanem. Po przerobieniu kilkakrotnem przyrządu udało mi się to coś pochwycić i nagromadzić większą ilość w gruszkach edisonowskich. W tem stadjum przeprowadzenie doświadczeń było już rzeczą względnie łatwą. Pomiędzy innemi cechami elektroidu, na szczególną uwagę zasługuje podobieństwo jego do promieni słonecznych, z czego znowu wyciągnąłem wniosek, że ciało to, promieniejąc, powinno działać mechanicznie i wywoływać obroty rotacyjne ciał, podobne do obrotów ciał niebieskich. Doświadczenie wniosek teoretyczny potwierdziło. W przekonaniu, że dokonałem doniosłego odkrycia naukowego, wysłałem raport 1 maja 1896 r. do Akademji umiejętności w Krakowie, jako też do następujących akademji europejskich: w Rzymie, Petersburgu, Stockholmie (otrzymałem potwierdzenie odbiorcy) w Paryżu, Berlinie, Wiedniu, Budapeszcie i Londynie (bez odpowiedzi). Posłałem też jeden raport do Filadelfji. Obecnie pracuję nad skonstruowaniem większej maszyny, którąby mi pozwoliła rozporządzać większą ilością materji i siły.

Elektroid ma pewne podobieństwo do elektryczności, co spowodowało nawet Rychnowskiego do przyjęcia nazwy niezupełnie odpowiedniej. Mimo atoli podobieństwa różnice mają być tak znaczne, że o złudzeniu nie może być mowy.

Niezmiernie ciekawą jest grupa zjawisk mechanicznych, przy której zauważyć należy, że szkło nie stanowi dla elektroidu żadnej przeszkody, że więc on i przez szkło wpływ swój wywiera. Elektroid przyciąga ciała stałe, i wprowadza w ruch rotacyjny kule, obracające się na osi pionowej. Ruch ten powstaje nawet pod działaniem z odległości. Naprzykład kula, ważąca 50 do 60 gramów zaczyna rotować pod wpływem elektroidu, działającego z odległości 50 do 60 ctm.

Niemniej zdumiewające są zjawiska świetlne. Elektroid, wydzielając się, działa chemicznie, zatem działa i na płyty fotograficzne. Fotografje więc w tych badaniach i doświadczeniach odgrywają niesłychanie doniosłą rolę, gdyż utrwalają okiem nieuchwytne zjawiska świetlne. Przy zastosowaniu elektroidu do fotografji, otrzymujemy tak ostre zarysy, jak przez bardzo silną soczewkę.

Elektroid wywiera też osobliwy wpływ na barwy.

O fizjologicznym wpływie elektroidu też kilka niezmiernie ciekawych rzeczy można powiedzieć. Tak np. pod wpływem fal elektroidu rośliny szybko się rozwijają, a pączki róż roztwierają się w naszej obecności. Elektroid konserwuje wybornie białko i wogóle ciała organiczne, przez to, że niszczy bakterje i pozornie zabezpiecza zupełnie.

Dotychczas odkrycie elektroidu nie znalazło jeszcze praktycznego zastosowania.

Wynalazca, któremu prof. Roszkowski udzielił naukowej pomocy, powierzył jednemu ze swych znajomych krzątanie się około uzyskania nieodzownych do rozwinięcia swego wynalazku kapitałów, w nadziei, że nie będzie potrzebował się zwracać do kapitalistów zagranicznych.

W. Sz.



Inżynier Rychnowski w swojej pracowni.

BAL POLSKI W PETERSBURGU.

Bal polski powiódł się świetnie... A jak bal polski się uda... Zawsze się zresztą udaje i uchodzi za najświetniejszy bal publiczny w Petersburgu. Czem tedy odznacza się bal, który tak ma ustaloną sławę w stolicy rosyjskiego państwa? Tem przedewszystkiem, że ludzie bawią się na nim wybornie, że zbiera się na nim liczne i bardzo doborowe Towarzystwo, że kobiety są...

Kto wątpi, że polki urodziwe są, jak łanie, piękne, jak boginie? Kto wątpi, że w petersburskiem, mroźnem powietrzu, na szarem tle petersburskiem błyszczą tem jaskrawszym i bardziej uroczym blaskiem? Niema takiego! Tem lepiej; ułatwia mi to ogromnie zadanie, zwalniając od opisu (opiewania raczej!) poszczególnych wdzięków, przy którym *ambarras de richesses* stałby mi na zawadzie. Polskie panie i panny tańczyły dzisiaj w sali „Dworjanskiego sobrania", więc tańczyły panie i panny piękne—i kwita! Która najpiękniejsza? Najpiękniejszych było tyle, ile serc zakochanych łomotało się pod krochmalnemi plastronami. Pisma petersburskie, prócz wdziękom, dziwią się też bogactwu tualet i rodzinnym klejnotom: całe skarbce błyszczą podobno na ramionach i piersiach urodziwych i... bledną w takiem sąsiedztwie, więc nie zauważyłem ich zgoła. Ledwiem zauważył tualety (tak pięknie rysowały kibicie, wypuszczając ze swych kleszczów szyje i ramiona!), ale nie czuję w sobie talentu, by je opisywać.

Wszystko, słowem, było ładne i składne, począwszy od udekorowania sali, ustawienia kiosków. *A propos* kiosków wspomnieć muszę, że raził mię z początku stojący przy jednym z nich nieruchomo, czarny jak smoła murzyn. Co robił murzyn na balu polskim, urządzonym na dochód katolickiego Towarzystwa dobroczynności? Nic nie robił. Stał wyprostowany, błyskając na przemian to zębami, to ślepiami. Co po murzynie na balu? Zrozumiałem! Symboliczny był to murzyn: wśród blasku klejnotów i drogich tualet, wykonanych w najpierwszych petersburskich pracowniach, przypominać miał tańczącym, jak *czarną* jest nędza, której ulżyć ma Towarzystwo dobroczynności dochodem z balu, i zachęcać do ciśnięcia się z swym obolem do kiosków, w których gospodynie balu sprzedawały kwiaty i napoje na cel dobroczynny (panie: Marja Maleszewska, Święcicka, Borkowska z córkami, Gnoińska z córką i Jacynowa z siostrą). Dodam odrazu, że dochód czysty z balu wynosi kilka tysięcy, jak zwykle, i stanowi jedną z głównych rubryk dochodu Towarzystwa dobroczynności.

Gospodyniom, które pod buławą pani Cyprjanowej Spasowiczowej zorganizowały piękną tę zabawę, nie poskąpi nikt uznania, a tem mniej ten, kto miał sposobność przekonać się, ile potrzeba zmysłu organizatorskiego, gustu, taktu, dyplomacji nawet, by urządzić bal i piękny, i do wesołej zabawy podatny, i nie zamącony żadnym epizodem choćby najbardziej draśniętej miłości własnej. Nie wiem, jak gospodynie podzieliły się pracą, ale dyplomacja spoczywała widocznie w kompetentnych rękach pań: Natalji Spasowiczowej i Marji Żukowej, które czyniły honory, przyjmując przedstawicieli ciała dyplomatycznego. Mniej ich w tym roku było niż zwykle, skutkiem żałoby, która dotknęła różne dwory; zauważyłem wszakże posłów: portugalskiego (z tańczącą córką) i serbskiego, oraz belgijskiego i tureckiego *attaché* poselstwa.

Gdyby stać mię było na taką śmiałość, jedną pozwoliłbym sobie zrobić organizatorom balu uwagę: omylili się w dacie samego balu. Na karcie mojej najwyraźniej wydrukowano: „*le 14 fevrier*" i stawiłem się też tego wieczora punktualnie na sali, ale nie znalazłem na niej nikogo; samotne żyrandole przeglądały się melancholijnie w wywoskowanej posadzce! Nazajutrz dopiero (zaraz w parę minut po północy) zwaliła się publiczność naraz taką ciżbą, że widocznem było, iż czekała tylko, by zaczął się dzień 15 lutego, by na bal pośpieszyć.

Swoją drogą przyznać muszę, że warto było czekać parę godzin, by doczekać się takiego widowiska. Bal rozpoczęła polonezem pani Natalja Spasowiczowa z jen. Jocherem, i szedł już odtąd *crescendo*, wśród wzrastającej wciąż zabawy, tak tych, co tańczyli wesoło i ochoczo, jak i tych, co zwartą masą cisnęli się dokoła, by napawać oczy pysznem widowiskiem. Tańcami kierował p. Żwan z pomocą p. Dunina Borkowskiego.

Punktem kulminacyjnym balu był bezsprzecznie mazur. Tańczący mieli miny wesołe i rozbawione, a jednak żałowałem tańczących, że przyglądać się nie mogli tej wartko przez całą szerokość sali miarowo płynącej kohorcie (ile par było? 150, może więcej, a jakie tych par połowy, patrz powyżej!). Ze stanowiska spektatora wytrwałego, lubującego się widokiem mazura, uczynić muszę uwagę, że do całkowitego zadowolenia patrzących potrzeba dwóch warunków: 1-o by kierujący tańcami mieli pod ręką dobrze tańczący, ochoczy i dorodny materjał ludzki i 2-o, by nim nie wykonywali zbyt kunsztownych manewrów, ale puszczali go w ogień wielkiemi masami. Obydwa warunki spełnione były—całkowicie.





By mię kto nie wziął za bezwzględnego panegirystę balu polskiego, dam zaraz dowód, że i na najpiękniejszem niebie umiem dopatrzyć się chmurki. Chmurki tej dopatrzyli się zresztą wszyscy, bo zaległa gęstą pomroką całą salę. Podczas mazura trzech fotografów wymierzyło na salę swe aparaty i z małym hukiem, ale większym dymem spaliło sporą ilość magnezji, by poczynić migawkowe zdjęcia.

— A, to fotografowie „Kraju"!—słyszałem ze stron wielu. Otóż nie, szanowni państwo, nasza dziennikarska zaciekłość nie idzie tak daleko, by aż zatruwać wam powietrze i mgłą zakrywać tak piękny widok. Obok znajdują się dowody, że umiemy sobie poradzić i bez tego.

Na dym jednak, sprawiony przez fotografów, tańczący łatwo znaleźli lekarstwo: tańczyli dalej z rosnącym wciąż animuszem, rozwiali mgłę i pomrokę i zostali przed rankiem bezsprzecznymi panami placu. Tańczono bowiem do rana.

Czytelnikom jedno winien jestem jeszcze objaśnienie. Piszę powyżej o ciżbie, o wypełnionej sali i zwartych masach spektatorów dokoła: czy sala była mała, czy towarzystwo polskie tak liczne? Ni jedno, ni drugie. Sala szlacheckiego klubu jest ogromna, a polska balująca kolonja w Petersburgu nie dość liczna, by ją wypełnić po brzegi, tem bardziej, że „nieobecni" byli nieobecnymi.

Przyjezdnych też nie było wielu (zauważyliśmy między innymi ks. Ksawerego i Hieronima Druckich-Lubeckich, ks. Ogińskiego, pp. Jana Blocha i Kiślańskiego z Warszawy i t. d.) — ale z sukursem pośpieszyło towarzystwo rosyjskie, częścią, by przyjrzeć się głośnemu balowi, częścią, by czynny i wytrwały wziąć w nim udział; wśród tańczących znajdowało się wiele pań rosyj-

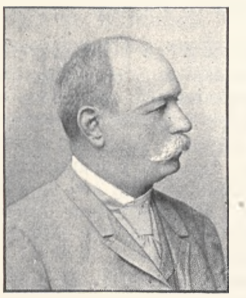
skich i wiele uniformów (dwa nawet czerkieskie), a wśród spektatorów wiele znanych w tutejszym świecie osobistości.

O wyliczanie osób z polskiego towarzystwa, które na bal pośpieszyły, i kusić się nie mogę, chyba, że „Kraj“ na wciąż otworzy mi swe łamy. Wybierać zaś z grona obecnych najwybitniejszych mężów i najokazalsze, najstrojniejsze i najpiękniejsze panie, oraz najurodziwsze panny—nie głupim!

Wb.

Katolickie Tow. dobroczynności w Moskwie.

Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Moskwie *de nomine* istnieje oddawna, już bowiem w r. 1861 otrzymało bardzo liberalny statut, zatwierdzony przez ówczesnego ministra Wałujewa, z urzędową nazwą *„Popieczytielstwa o biednych katoliczeskago wieroispowiedanja“*. Wobec jednak wypadków późniejszych, działalność Towarzystwa została wstrzymaną na czas długi, chociaż sam statut cofnięty nie był. Dopiero około r. 1887 poczęła budzić się znowu niejaka działalność, zwłaszcza gdy w roku następnym powołany na urząd prezesa Towarzystwa p. **Władysław Targoński** zakrzątnął się c z y n n i e około swych nowych zaszczytnych, lecz i uciążliwych obowiązków. Na mocy statutu w kilka lat potem zorganizowało się kółko, które,na wzór waszego kółka amatorów w Petersburgu, urządzało tygodniowe zebrania w lokalu klubu niemieckiego, a także organizowało teatry i koncerty amatorskie na cele Towarzystwa. W roku ubiegłym zamiast statutu wprowadzono ustawę normalną, obowiązującą wszystkie tego rodzaju Towarzystwa w Rosji, co uszczupliło znacznie atrybucje zarządu. Tak np. zebrania w klubie niemieckim musiały uledz zupełnej przerwie. Według ostatniego sprawozdania, w r. 1897 Towarzystwo czerpało swe środki z przedstawień amatorskich (około 2 tys. rubli), z zezwolonej przez rząd loterji (700 rubli) i, naturalnie, przedewszystkiem ze składek członkowskich, oraz ofiar na cele różne (przeszło 4 tys. rb.). Posiada ono obecnie około 12 tys. rb. kapitału specjalnego, utrzymuje przytułek dla dziewcząt, wypłaca stałą zapomogę miesięczną kilkudziesięciu starcom i udziela pomocy doraźnej każdemu, znajdującemu się w istotnej potrzebie. O działalności szan. prezesa, p. Targońskiego, któremu Towarzystwo zawdzięcza najwięcej, szczegółowej mówiliśmy w jednej z ostatnich korespondencji z Moskwy.



Moskwa. X.

KRONIKA LITERACKA.

Przyczynek do uroczystości mickiewiczowskich. Mowy, które mieli pp. Spasowicz, Boborykin, Michajłowskij i Sołowjew, pierwsi trzej na wieczorze mickiewiczowskim 6 lutego, ostatni na obiedzie 27 grudnia, zostały ogłoszone w pismach: Boborykina i Spasowicza w „Nowostiach“, Michajłowskiego w „Russk. Wiedom.“ i Sołowjewa w „Mir. Iskusstwa“ (miesięcznik, wydawany przez ks. Teniszową). O Mickiewiczu znajdujemy obszerniejsze studja pana Rajskiego w tygodniku „Russkij Trud“ i p. Krasnowa w dodatku lutowym do „Niedieli“. Wreszcie wiersz na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie p. S—wa, wydrukowany w „Swiecie“ z wykreśleniem pewnych ustępów, pomieszczony został w gazecie „Russk. Trud“ w całości. Mowę p. Boborykina na wieczorze mickiewiczowskim z „Nowosti“ przedrukował „Pribałt. Listok“, — mowę zaś p. Michajłowskiego z „Russk. Wiedom.“ powtórzyły „Pietierb. Wied.“. Wiersz Mickiewicza p. t.: „Oleszkiewicz“, ręką Puszkina przepisany w oryginale polskim, znajduje się w 6 tomie rękopisów poety rosyjskiego, znajdujących się w moskiewskiem Muzeum im. Rumiancewa. Wiadomość o tem podaje współpracownik „Piet. Gaz.“ Rusłan.

Stosunki polsko-niemieckie. Prof. Schmoller w Berlinie ogłosił drukiem zbiór studjów swoich do dziejów stosunków ekonomicznych Europy w wiekach XVI—XIX. Tytuł tej pracy *„Umrisse und Untersuchungen“* (Lipsk). Prof. Schmoller zastrzega się wyraźnie, że nie jest szowinistą pruskim i nic niema wspólnego z „prusactwem“ (Borussenthum), można mu przeto zaufać na słowo, gdy w dziele swojem wykazuje, za pomocą jakich środków dążyli już przed wiekami Hohenzollernowie do podkopania handlu polskiego, jak zręcznie prowadzili kolonizację rolniczą w celu zgermanizowania prowincyj wschodnich w wieku XVII i XVIII. W pracy uczonego ekonomisty wiele tego rodzaju ustępów, posiadających pierwszorzędne znaczenie dla historji naszej.

Niemcy wobec Mickiewicza. Największy tygodnik ilustrowany niemiecki, wychodząca w Lipsku znana „Illustrirte Zeitung“ zamieściła wizerunek warszawskiego pomnika Mickiewicza, oraz artykuł objaśniający, napisany w duchu sprawiedliwości i poszanowania dla kultury obconarodowej. „Po za wszelkiemi sporami politycznemi— czytamy tam—przyznaje i niemiec słowianom ogólno-ludzkie i kulturalne prawa, i wita z radością hołdy oddawane sztuce. Nie zapomnieliśmy, że Warszawa obchodziła z nami w r. 1859 uroczyście setną rocznicę urodzin Schillera. Niechaj będzie pewną, że w jej mickiewiczowskiej uroczystości wzięli duchowy udział i niemieccy miłośnicy literatury i sztuki“.

Cenny dokument. W archiwum watykańskiem znaleziono przed kilku tygodniami nader ważny i ciekawy spis wszystkich kościołów djecezji krakowskiej w 1346 roku. Ułożył go niejaki Arnold, scholastyk krakowski, który objeżdżał kościoły, zbierając świętopietrze. Delegaci Akademji krakowskiej sporządzili dokładną tego spisu kopję.

Konkurs. Akademja umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na nagrodę d-ra Jonatana Warschauera, wyznaczając na temat pracy konkursowej: „Naukowe uzasadnienie organoterapji na podstawie własnych doświadczeń“. Nagroda wynosi 1,200 złr. Termin nadsyłania prac (bezimiennych) upływa z dniem 31 grudnia 1900 r.

Przekłady z polskiego. W „Podols. Gub. Wiedom.“ ukazało się w przekładzie rosyjskim opowiadanie Wł. Reymonta p. t.. „Finka“.

BIBLJOGRAFJA „KRAJU“.

Wincenty hr. Łoś. „Sąsiedzi“, część pierwsza; „Wśród łap polipa“. Warszawa, 1898, in 8-o, str. 199. Sennewald.

Autor w 12-tomowym szeregu powieści, związanych jednością idei i występujących w nich osób, zamierzył skreślić obraz współczesnych stosunków wiejskich w Królestwie polskiem W pierwszym z tych tomów, który ukazał się niedawno, występują figury, mające zapewne w przyszłym rozwoju powieści grać pierwszorzędną rolę. Autor przenosi nas w okolicę, gdzie obok kilku niemieckich majątków szlacheckich leżą obszerne latifundia. Właścicielami ich są ludzie rzadko rozsądni i dobrzy, częściej zaś zbzikowani na jakiejś zachciance lub z innych względów śmieszni. Ton satyryczny, do którego autor zdaje się mieć upodobanie, znajduje tu szerokie zastosowanie. Charaktery dodatnie: młodego szlachetnego i obdarzonego artystycznemi popędami Witolda Kislarskiego, jego rozumnego stryja, prezesa, oraz ujemne: «polipa» Łukomskiego i hr. Świeżodatskiego zarysowują się wyraźnie i wypukło. Zawiązywaną zwolna intrygę, należy się spodziewać, autor w dalszych tomach wysnuje ze zwykłą sobie zręcznością.

Aleksander Kraushar. „Bourboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie“. Warszawa, 1899, in 8-o, str. 233. Gebethner i Wolff.

Ludwik XVIII mieszkał w Warszawie od początku 1801 do końca 1804 roku i ten właśnie okres czasu stanowi główną i najciekawszą część niniejszej książki. Życie wygnanego króla i jego dworu, ogólny charakter miasta i społeczeństwa warszawskiego za czasów pruskich zostały tu skreślone w obrazie pełnym i żywym. Ciekawemi też są i ówczesne kombinacje polityczne, niekiedy zbliżka społeczeństwa naszego dotyczące. Liczne ilustracje, przedstawiające portrety osób współczesnych, miejscowości i gmachów jeszcze bardziej podnoszą wartość tej cennej pracy.

Adolf Dygasiński. „Szeląg kieleckie“, 2 tomy. Kielce, in 16-o, str. 203 i 152. Żelichowski.

Znajdujemy tu szereg obrazków, po większej części wiejskich, owianych szczerym humorem, noszących na sobie cechę dokładnej znajomości sfer chłopskich i drobnoszlacheckich, które tu przemawiają. Dygasiński należy do tych pisarzy, którzy umieją swój humor przyprawiać niekiedy łzami i właśnie tu znajdujemy jeden tego rodzaju obrazek p. t.: «Alegant», który głęboko porusza czytelnika i na długo ryje się w jego pamięci. Inne nowelki i obrazki noszą tytuły: «Szymek Ziarno», «Chłop o letnikach», «Dziedzic i kłusownik», «Ćwieki w głowie» i «Dzień letnika».

Teresa Jadwiga. „Książę gór i przepaści“. Warszawa, 1899, in 8-o, str. 234. Borkowski i Kasprowicz.

Autorka licznych powieści historycznych dla młodzieży opowiada tu dzieje walk albańskich przeciwko potędze tureckiej w XV w. za Amurata II. Wypadki tu opowiedziane współczesne są bitwie pod Warną. Opisy obyczajów tureckich i albańskich czerpane są z powieści «Rycerz chrześcjański» T. T. Jeża.

—

«Спутникъ пассажира по Юго-Восточнымъ жел. дорогамъ», wyd. Towarzystwa kolei Południowo-Wschodnich. Moskwa, in 8-o, str. 345. Jest to pierwsza próba wydania przewodnika kolejowego w szerokiem znaczeniu tego słowa. Pierwszy tom obejmuje linję od Kozłowa do Rostowa i w szeregu barwnych opisów rozwija przed czytelnikiem panoramę miejscowości, które przecina kolej, uzupełniając te opisy danemi, zaczerpniętemi z historji i z życia ekonomicznego kraju. Autorem tej pożytecznej pracy, która oby znalazła naśladowców i na innych kolejach, jest nasz rodak p. Al. Rodziewicz.

TREŚĆ N-ru 8 „KRAJU“:

z dnia 19 lutego (3 marca) 1899 r.

Redaktor i wydawca ERAZM PILTZ.

KURJEREK KIJOWSKI.

Paderewski, który zamieszkał w Kijowie w gościnnym domu państwa Henrykostwa Kerntopfów, bywał i tutaj, jak i w innych miastach, nawiedzany przez przeróżnych wielbicieli i interesantów. Wielki artysta czuł się atoli tak znużony po szeregu koncertów w Petersburgu, Moskwie, Wilnie, Rydze i Mińsku, że niemal nikogo nie przyjmował. Na powitanie znakomitego pianisty przybyła do Kijowa rodzona siostra Paderewskiego, pani Wilkońska z Nieżyna. Na drugim koncercie rodacy w Kijowie ofiarowali Paderewskiemu wspaniałe album widoków Kijowa, wykonanych przez p. Wysockiego, w pięknej oprawie ze „Złotemi Wrotami" w srebrze wykutemi. Dołączono do niego dwie karty, artystycznie akwarelą przyozdobione przez artystę-malarza p. Eugenjusza Wrzeszcza, a usiane kilkuset podpisami. Wspomniane album ofiarował Paderewskiemu na estradzie hr. Bniński. Na drugim również koncercie ukazała się śliczna wiązanka kwiecia ze wstęgą, nadesłana z Mińska gubernialnego.

Piknik polski w salonach klubu kupieckiego zgromadził w d. 16 b. m. około 1,500 osób. Pod względem ożywienia nie ustępował bal tegoroczny balom polskim z lat ubiegłych, znacznie jednak był skromniejszy pod względem tualet damskich. Zato tancerki tegoroczne jaśniały krasą i wdziękiem jak zawsze. Pozwolimy tu sobie wymienić kilka tancerek, któreśmy w wirze urozego walca zdołali zanotować. Otóż przedewszystkiem księżna Rep., pani Janowa Mar.., panny Kraczk., panny Leśk., panny Saw. i Jacz., panny Fudak, pani Węgl., pani Marcin., pani Heyb., panna Lipk., panna Kaczan., panna Dobrz., pani Dyn. Tańcami dyrygował młody hr. Bniński. Wśród zgromadzonych przeważali przyjezdni z rozmaitych okolic Kraju południowo-zachodniego. Zabawa skończyła się o 7 rano białym mazurem.

Koncerty. Koncert na rzecz budowy kościoła św. Mikołaja, jaki tu dał p. Wiktor Grąbczewski, barytonista warszawski, miał ogromne powodzenie. Utalentowanego śpiewaka witano i żegnano b. serdecznie. Akompanjował wybornie p. Grąbczewskiemu pianista warszawski, p. Zygmunt Biliński. Sukcesem również artystycznym cieszył się tu w d. 18 b. m. znany skrzypek p. Frieman z Odesy.

KIJÓW

Cztery temperamenty przy pracy.

Flegmatyk robi jedno po drugiem;
Sangwinik jedno przed drugiem;
Choleryk dwie rzeczy na raz;
Melancholik — nic nie robi.

(Przegląd).

POŁUDNIOWO-RUSKIE

DNIEPROWSKIE TOWARZYSTWO METALURGICZNE

Herb Państwa na Wszechrosyjskiej Wystawie w Niżnim-Nowgorodzie w r. 1896.

Zakłady Dnieprowskie

Wielki Medal Złoty na Paryzkiej Wszechświatowej Wystawie w roku 1889.

Zakłady położone przy stacji «Trytuznaja», Jekateryninskiej dr. żel.

Marka fabryczna Д. 3. **żelaza.**

ZAKŁADY DNIEPROWSKIE WYRABIAJĄ:

Surowiec bessemerowski, biały, odlewniczy i spiegel.
Szyny wszelkich typów dla dróg żelaznych, parowych i konnych.
Szyny profilów lekkich dla kopalń etc.
Szynowe łączniki.
Obręcze.
Osie do parowozów, tendrów i wagonów.
Stal resorową.
Belki walcowane, I i kształtu |__|
Żelazo kolumnowe i kolumny.
Wały walcowane do transmisyj.
Blachę stalową i żelazną.
Rury wodociągowe lane od 3" do 12" średnicy.
Żelazo dwukątowe, pługowe, kątowe, teowe T, sztabowe płaskie, obręczowe, kwadratowe, okrągłe, półokrągłe rusztowe, żelazo spajane i lane, oraz stal.
Drut walcowany do 5 mm średnicy, ze spajanego i lanego żelaza, oraz stali.
Kotły parowe zwyczajne i wodnorurkowe.
Rezerwoary i kadzie.
Formy mostowe, wiązania dachowe.
Kafary do szybów.
Żelazne wagoniki dla kopalń.
Weksle i krzyżownice.

ODLEWY STALOWE I ŻELAZNE. — DOSTAWA RUDY MANGANOWEJ.

Zamówienia przyjmują:

Zarząd Towarzystwa—Warszawa, Aleja Ujazdowska № 6. Dyrekcja Zakładów w Kamienskoje.

Adres dla listów: Zaporożje-Kamienskoje, Jekaterynińskiej dr. żel.
Adres dla depesz: Zaporożje-Kamienskoje Metal. (47)

Szczegółowe cenniki i asortymenty, z oznaczeniem cen, wysyłają się franco i gratis.

Agentury—w **Petersburgu:** Mała Morska 6; w **Moskwie:** u Miasnickich wrót; w **Charkowie:** Plac Mikołajewski 3; w **Kijowie:** Kreszczatik 12. **Agenci:** w **Warszawie:** A. Zaborowski (Wspólna, 25); w **Wilnie:** M. Beskin; w **Odesie** L. Jacobstam; w **Rydze** P. Stolterfoht; w **Mikołajewie** F. Frischew; w **Jekaterynosławiu** M. Karpas.

SUCHOWIECKI I BOURK

Jekaterynosław.—Filja w Ługańsku.

Dostawcy wszelkich materjałów i maszyn dla fabryk metalurgicznych, oraz kopalń żelaza i węgla.

Reprezentacja pierwszorzędnych firm krajowych i zagranicznych. (52)

HOTEL EUROPEJSKI

w Jekaterynosławiu, na Prospekcie.
Elegancko urządzone numery od 1—5 rb. Wspaniała sala. Kuchnia wytworna. (53)

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT

STANISŁAWA SADOWSKIEGO

W WARSZAWIE,

ulica Marszałkowska 115 (róg Złotej)

poleca nowe wydawnictwa:

Dębicki Z. Ekstaza. Poezje, rb. 1 k. 10.
Ernst M. Dr. O końcu świata i kometach, z powodu przepowiedni końca świata na rok 1899, rozprawa popularno naukowa, k. 70. (2388)
Kasprowicz Jan. Krzak dzikiej róży. Poezje, z portretem poety, rb. 1 k. 60, w oprawie po rb. 2 k. 15 i rb. 2 k. 40.
Witkiewicz St. Sztuka i krytyka u nas (1884—1898). Wyd. 3-e, rb. 3 k. 50.
Zamawiający z powyższych książek a rb. 2 i wyżej kosztów przesyłki nie ponoszą.

Medaljon Adama Mickiewicza

Na pamiątkę jubileuszu Adama Mickiewicza przygotowałem medaljony z kompozycji brązowej, obramowane pięknym wieńcem i odpowiedniemi emblematami. Cena rb. 3 k. 50. — Za nadesłaniem 1 rubla wysyła się za zaliczeniem pocztowem. - Handlującym rabat.

J. DYŻEWSKI.

Skład główny w Warszawie, dom handlowy **K. L. Wickenhagen**, Sadowa № 4.

Z CHWILI.

— Budowa dworca centralnego
Posuwa się dziś już szalenie...
— Pysznie! Oh, bom ja nie od tego,
Gdyż ulepszenia, komfort cenię...
— Niech pan zachwytu skończy słowa
I tak rozkosznie wnet nie marzy,
Posuwa dworca się budowa...
W imaginacji dziennikarzy! (Kolce).

Dr. L. WALICKI, Warszawa, Marszałkowska 98, m. 26, specjalnie choroby gardła, głębi ustnej, szczęk, zębów. Leczenie, plombowanie, zęby sztuczne. (2298)

SKŁAD APTECZNY
i KOSMETYKÓW

K. Niwińskiego

w Kijowie, Kreszczatik № 23, naprzeciw poczty. (636)

Poleca wielki wybór perfum, kosmetyków, przyb. toaletow. Szklane wyroby Baccara, szczotki, grzebienie, szyldkrety. Apt. towary, chem. przetw.. artyk. gospodarcze.

Technik leśny, ze specjalnem wykształceniem, odebranem w Akadem. leśn. w Tharandcie, mający po za sobą praktykę i dobre rekomendacje, **poszukuje miejsca nadleśnego.** Łaskawe oferty proszę nadsyłać p. ad.: Wilno, Tatarska ul., d. Tyszki, p Lewczakowi, dla doręczenia A. M. (6418)

Inżynier Edward Szenfeld i S-ka

w Warszawie, ulica Jasna № 3

Biuro Wiertnicze

I MELIORACYJ ROLNYCH

wykonało w Charkowie studnię artezyjską, największą na całe Cesarstwo i Królestwo Polskie

640 metrów — 2,100 stóp ang. głębokości

zarurowaną 7½-calowemi rurami i wyrzucającą

150.000 wiader = 1,300,00 litrów

wody samobijącej na dobę. (2351)

Biuro Górniczo-Wiertnicze **USTYANOWSKI,** Inżynier-Gór. **MIRECKI i S-ka** w Warszawie, ul. Ordynacka № 8, d. hr. Krasińskiego, telefonu № 1181

Studnie Artezyjskie.

Budowa **zimą i latem.** Gwarancja wydajności. Wynagrodzenie od stopy lub za ogólną cenę, jedynie po dostarczeniu zagwarantowanej **ilości wody.** (2166)

„ZŁOTA KSIĘGA SZLACHTY POLSKIEJ"

przez **Teodora Żychlińskiego**, wychodzi w Poznaniu od lat 21 **corocznie** 1 grudnia i zawiera **monografie historyczno-genealogiczne**, oparte na aktach grodzkich i dokumentach familijnych, dalej ważniejsze zabytki archiwalne **in extenso**, coroczną **kronikę** wypadków rodzinnych (narodziny, śluby i t. d.) i **nekrologję** członków rodzin, do «Złotej Księgi» zapisanych.—Uprasza się o **jak najwcześniejsze** zgłoszenia rodzin, pragnących być pomieszczonemi w XXII Roczniku. Bliższych szczegółów udziela niżej podpisany autor i wydawca, który także **wyłącznie** przyjmuje przedpłatę à **5 rubli** za egzemplarz. (6338)

Teodor Żychliński,
Poznań, Ś. Marcin 21, I p.

TOWARZYSTWO AKCYJNE ZAKŁADOW METALURGICZNYCH

B. HANTKE

w WARSZAWIE i JEKATERYNOSŁAWIU.

Wyrabia: akcesorja kolejowe i dla telegrafu, szruby, mutry, nity, drut, łańcuchy, gwoździe, łopaty, widły, młotki, klucze i wszelkie wyroby kute i mechaniczne. (25)

Obszerne laboratoryum do wyłącznego użytku pp. Amatorów.

ERYWAŃSKA 3.



GOLCZ & SZALAY

POLECAJĄ:
Aparaty Fotograficzne
najnowszych konstrukcyj, oraz wszelkie przybory, klisze i papiery fotograficzne najlepszych gatunków.